

Intro

Redaktor naczelny: Dawid Balcerek

Zacznę od liczb — dokładnie 456 dni, czyli ponad rok nie było nas w Poznaniu. Tak jak większości, nam również było ciężko. Przez cały ten czas działaliśmy nadal, choć tylko w sieci, i ani na chwilę nie zwątpiliśmy w to, że los się odmieni. Z utęsknieniem czekaliśmy na odpowiedni moment. I w końcu nadszedł! Wracają kawiarnie, wracają restauracje, wracamy i my... mając nadzieję, że choć trochę się za nami stęskniliście. Nie bez powodu wracamy w Dzień Dziecka — jesteśmy dużymi dziećmi i postanowiliśmy zrobić prezent sobie oraz Wam, oddając w Wasze ręce świeżutki numer Freshmaga z numerem 86 na grzbiecie. Jako że duże dzieci lubią się także dobrze bawić, chciałbym zaprosić Was na czerwcową imprezę z okazji naszego powrotu i otwarcia sezonu wydawniczego. Dobrze znany Wam cykl sTej Fresh tym razem zawita do Nurtu, który znajdziecie obok mostu Królowej Jadwigi od strony Rataj. Razem z marką Ovocovo zebraliśmy niezłą ekipę, która rozpocznie muzyczną batalię już o 16, by walczyć aż długo starczy Wam sił. Line-up imprezy znajdziecie zaraz po lewej stronie na plakacie imprezy. Jako że to Dzień Dziecka, wpadajcie z pociechami — na początku imprezy będzie dla nich sporo atrakcji, a Ovocovo zapewni mocną porcję witamin.

To jak? Widzimy się w sobotę?

PS: Wspaniałą okładkę stworzyła poznańska artystka Dorota Piechocińska, z którą oczywiście znajdziecie w środku wywiad.

Redakcja Freshmaga nie ponosi odpowiedzialności za zmiany terminów imprez oraz za treść reklam.



REDAKTOR NACZELNY:

Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

**ZASTĘPCA REDAKTORA
NACZELNEGO:**

Michał Krupski
michal@freshmag.pl

WYDAWCA:

CRAFTBOX
ul. Bydgoska 2/3E
61-127 Poznań

SKŁAD:

Paweł Uniejewski
info@pixelnoiz.com

REKLAMA:

Michał Krupski
michal@freshmag.pl
695 823 184

WSPÓŁPRACA:

Natalia Bednarz
Łukasz Kowalka
Viola Łechtańska-Błaszczak
Joanna Gruszczyńska
Nicole Piotrowska
Sylwia Klaczyńska
Joanna Hała
Malwina Cyprowski
Malika Ledeman

NAKŁAD:

4000 sztuk

OKŁADKA:

IlustraDORA

freshmag.pl

4

Konkurs 30/30

Latem w Galerii Starego Browaru już po raz siódmy odbędzie się wystawa najlepszych okładek muzycznych zeszłego roku.

12

Wakacyjne pocztówki ze Starego Browaru

Kilka pomysłów na ciekawe spędzenie wolnego czasu w centrum miasta.

18

Poznańska kamienica

Wycieczka po mieście z Joanną Lip, która odkrywa przed nami nowy Poznań.

8

Roślinocholicy

Poznajcie poznaniaków z chlorofilem we krwi.

14

50. urodziny Radia Afery

Historii o tej kultowej rozgłośni jest wiele, wśród nich dużo afer, a każda opowiedziana z pasją do dziennikarstwa i ludzi.

24

W odwiedzinach w diabelskiej kuchni

Piotr “Timi” Piotrowski opowiada nam o swojej piekielnej kuchni oraz tłumaczy jak przygotować najlepszego steka.

34

Wywiad z Kamilą Szcześniak

Z ilustratorką spotykamy się tuż po premierze jej albumu.

40

Historia Małty, Eskulapa, Fabryki, Post Dali, Zeza i MO

Jak poznaniacy i poznaniarki bawili się na pierwszych imprezach techno?

29

Nic nie jest czarno-białe

IlustraDORA

– rozmowa z Dorotą Piechocińską.

38

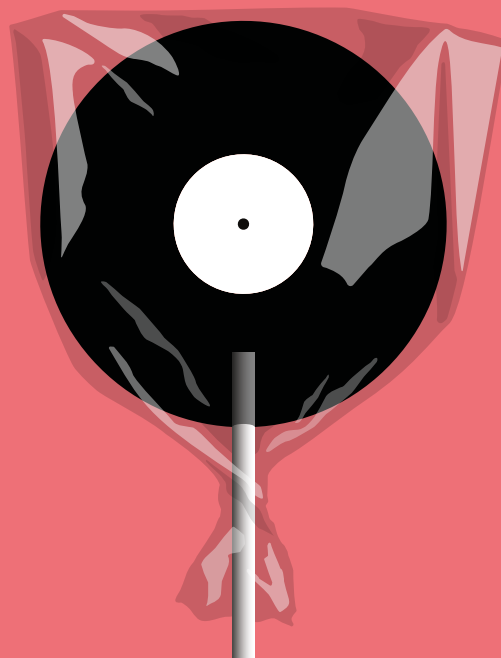
Rozprawa na temat miłości

„...Miłość, to jedna z nielicznych sztuk dla sztuki, gdzie książkowej okładce brak śmiałych osądów.”

46

YANCH

Jak zadebiutować w czasach pandemii.



Znów wybiorą najlepsze okładki płyt w Polsce!

Finał Konkursu 30/30



Tekst: Joanna Hała

Latem w Galerii Starego Browaru już po raz siódmy odbędzie się wystawa zwycięskich prac Konkursu 30/30, czyli najlepszych okładek wydawnictw muzycznych zeszłego roku. Jaka historia stoi za jednym z najważniejszych wydarzeń tego typu w kraju?

Wszystko zaczęło się od brawury. Urzędnik, który wcześniej przez wiele lat pracował jako dziennikarz muzyczny, wchodząc w nową zawodową rolę, miał okazję podczas jednego z festiwali rozmawiać z Rosławem Szaybo, światowej sławy grafikiem, odpowiedzialnym za projekty okładek dla Eltona Johna, Leonarda Cohena czy Judas Priest.

– W 2014 roku Rosław zaprojektował plakat festiwalu Transatlantyk i z tej okazji odwiedził rodzinny Poznań. Opowiadał wówczas o swojej

twórczości na spotkaniu w Zamku. Po jednym z wydarzeń przedstawiłem się Rosławowi i w rozmowie wspominałem o idei nagradzania najlepszych aktualnych wydawnictw. Byłem miło zaskoczony, kiedy przyznał, że również rozważał taką inicjatywę – mówi Marcin Kostaszuk.

Potem sytuacja potoczyła się zaskakująco szybko. Jeszcze w czasie festiwalu spotkali się z dyrektorem Galerii Miejskiej Arsenał Piotrem Bernatowiczem, który zaoferował wsparcie i przestrzeń wystawienniczą. A w kolejny dzień wypadały... urodziny Rosława Szaybo.

– Udało mi się przekonać ówczesnego prezydenta Poznania, Ryszarda Grobelnego, że mamy rzadką okazję porozmawiać z jednym z najsłynniejszych na świecie poznaniaków o zupełnie nowym projekcie. Wraz z prezydentem zanieśliśmy mu do hotelu tort. Zaskoczony Rosław opowiedział prezydentowi o naszym pomysle, a dalej było już z górki – śmieje się Marcin Kostaszuk, obecnie wicedyrektor miejskiego Wydziału Kultury, wcześniej dziennikarz Głosu Wielkopolskiego. I dodaje, że bez misji i zaangażowania Rosława Szaybo ta inicjatywa nie miałaby szansy się rozwinąć.

Sztuka partnerstwa

Jak sam stwierdził w jednym z wywiadów, choć sam nie był muzykiem, zawsze uważał się za jazzmana. Rosław Szaybo jest bez wątpienia postacią kluczową dla odbywającego się w Poznaniu już po raz siódmy konkursu, a także legendą w branży. Efekty jego pracy i zaangażowania można oglądać na tysiącach okładek, za które był odpowiedzialny. Na uwagę zasługują między innymi te stworzone dla The Clash, Eltona Johna, Roya Orbisona, Judas Priest, Janis Joplin czy Krzysztofa Komedy. W Polsce był prawdziwym objawieniem grafiki użytkowej – jego wielka międzynarodowa kariera rozpoczęła się jednak w Londynie, gdzie rozpoczął pracę jako dyrektor kreatywny w agencji reklamowej Young&Rubicam. W branży muzycznej rozwinął skrzydła po tym, jak w 1972, został głównym projektantem wytwórni CBS Records.

– Rosław miał głęboko edukacyjną misję pokazywania dobrych przykładów. Innymi słowy, chciał się dzielić swoją wiedzą i zawsze chętnie to robił. A jednocześnie burzył branżowe schematy. Kiedyś jego projekt został prawie wyrzucony do kosza, ponieważ odważył się nie zamieścić na okładce nazwiska autora oraz tytułu płyty. Na spotkanie, na którym został straszliwie zganiony, weszła kelnerka z kawą. Zaczepił ją i zapytał: „Czyja to jest płyta?”. Ona odpowiedziała szybko: „Oczywiście, że Eltona Johna!”. I wygrał. Tak samo było z umieszczeniem listy piosenek na froncie okładki, zamiast – jak zawsze – na jej odwrocie. Przetestował ten pomysł z sukcesem na płycie Leonarda Cohena, mimo wielkiej scysji z samym artystą.

Mieliśmy więc poznaniaka, który otarł się o wielkich tego świata muzyki, ale dodatkowo był ich partnerem. I to partnerstwo była jego zasadą, którą chciał bardzo mocno w tworzeniu okładek promować – mówi Marcin Kostaszuk.

Rosław Szaybo do 2019 roku był związany z Konkursem 30/30 – miał decydujący głos w jury, a jego autorytet przyciągał do wydarzenia najciekawszych twórców i jurorów. Po śmierci artysty ustanowiono nagrodę jego imienia. Jej pierwszym laureatem został Patryk Hardziej, za okładkę „Total Panorama” Nene Heroine.

– Swój projekt wysłałem na konkurs bez większych nadziei, ponieważ wśród pięknych kolorowych opraw, czarno-biała liternicza okładka z kodem kreskowym mogła nie wydawać się najbardziej atrakcyjna. Słowem – konkurencja była duża, a mój projekt specyficzny. Okazało się, że ta specyficzność została nagrodzona przez jury, z czego się ogromnie ucieszyłem. Jeszcze bardziej ucieszył mnie fakt, że dostałem nagrodę im. Rosława Szaybo. Bardzo mocno interesuję się historią powojennego polskiego projektowania i postacią pana Rosława była mi doskonale znana. Zresztą miałem okazję zamienić z nim kilka słów podczas jego wykładu na ASP w Gdańsku kilka lat temu. Nagroda i tamto spotkanie są dla mnie bardzo ważne – mówi projektant.

W roku 2021, oprócz Nagrody Specjalnej im. Rosława Szaybo za szczególne osiągnięcia, zostanie przyznana również Nagroda Specjalna, w której uhonorowany zostanie całokształt fizycznego wydania wybranego albumu.

O co walczy 30. wybranych projektów?

Trzydzieści najlepszych okładek jest selekcionowane z prawie 100 zgłoszeń. W ubiegłych latach na wystawie prezentowano prace takich twórców, jak m.in. Beata Śliwińska „Barrakuz”, Mariusz Mrotek, Grzegorz „Forin” Piwnicki czy Mateusz Holak.

W tym roku w ramach Konkursu 30/30 na Najlepszą Polską Okładkę Płyty 2020 wyznaczono rekordową pulę nagród – 15 000 zł. Wy różnione projekty wybrało 15-osobowe jury, w skład którego wchodzi specjalisci z różnych dziedzin, w tym graficy i autorzy okładek albumów:

Dawid Ryski, Grzegorz „Forin” Piwnicki, Rafał Wechterowicz. Do składu dołączyli również dziennikarze muzyczni, czyli Bartek Chaciński i Piotr Stelmach. Grono zasilili także fotograf Jacek Poremba, którego prace – również te związane ze sceną muzyczną – mają już kultowy charakter.

Wszystko wskazuje na to, że latem będziemy mogli spotkać podczas wernisażu wystawy w Galerii Na Dziedzińcu Starego Browaru. I po prostu zbić pionę podczas oglądania ekspozycji.

Zwycięzcą nagrody głównej oraz zdobywcą tytułu najlepszej okładki 2019 roku został Tomasz Dubiel za pracę dla duetu Enchanted Hunters. Kto będzie świętował sukces w tym roku? Przekonamy się niebawem!

Wernisaż i wręczenie nagród: 18 czerwca o godz. 18:00.

Wystawa potrwa do 1 sierpnia, będzie czynna codziennie w Galerii Na Dziedzińcu Starego Browaru.



I edycja, Mateusz Holak



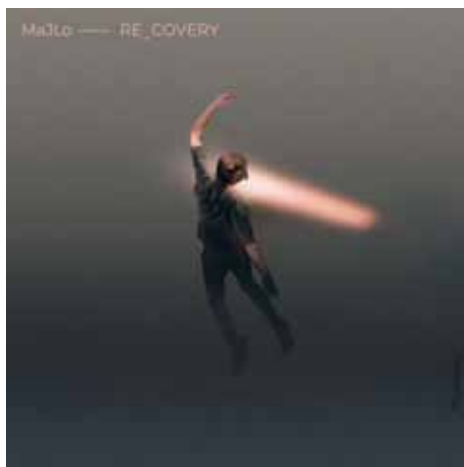
II edycja, Natalsza Dot Mastowska, Marianna Prange



III edycja, Anna Orłowska, Piotr Chuchla, Maciej Wachowiak



IV edycja, Maciej Animisiewasz Grochot



V edycja, Forin



VI edycja, Tomasz Dubiel

Letnie BRZMIENIA W POZNANIU

25.06 | KWIAT JABŁONI

2.07 | KRZYSZTOF ZALEWSKI

3.07 | BITAMINA + VITO BAMBINO + MIĘTHA

9.07 | SANAH

16.07 | MERY SPOLSKY

17.07 | BRODKA

30.07 | KARAŚ/ROGUCCI

31.07 | JULIA PIETRUCHA

6.08 | LEMON

7.08 | KUBA BADACH

13.08 | NOSOWSKA

20.08 | MROZU

21.08 | JAZZ BAND MŁYNARSKI-MASECKI

27.08 | ANIA DĄBROWSKA

28.08 | PAWEŁ DOMAGAŁA

WIĘCEJ WKRÓTCE!

PARK STAREGO BROWARU

BILETY W CENIE OD 59 ZŁ ORAZ KARNETY ZA 249 ZŁ SĄ DOSTĘPNE NA WWW.LETNIEBRZMIENIA.PL.

ORGANIZATOR

GOOD
TASTE

WSPÓŁORGANIZATOR

STARY
BROWAR

PARTNER STRATEGICZNY

eventim+

PARTNER

FREENOW

PARTNER HUBOWY

POZnań

PARTNER MEDIACY

ZET

ams

wyborcza

freshmag.pl

onet

WSPARCIE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU PRZECIWOZŁAZANIA COVID-19





Roślinoholicy

Poznaniacy z chlorofilem we krwi

▼
Tekst: Natalia Bednarz

Foto: Sylwia Klaczyńska



„Dom bez psów i roślin jest pusty, a ludzie, którzy bez nich żyją — źli” — usłyszałam niedawno w sklepie. *Plant is a new pet!* — wyczytałam w sieci. Mocne, ale chyba coś w tym jest. Rośliny adoptujemy, mówimy do nich, zapewniamy im opiekę na czas wyjazdu, czasem... bierzemy pod prysznic! W ostatnich latach rośliny dosłownie podbiły, czy też raczej oplotły nasze serca. Gdy pandemia i przymusowy lockdown odebrały nam kontakt z naturą... zaprosiliśmy ją do środka!

Liczba roślin w naszych mieszkaniach rośnie. Jedna, dwie, pięć, dziesięć to mało, rekordziści idą w dziesiątki czy setki. Roślinoholicy są wszędzie, także w Poznaniu. Znaleźć ich można w naturalnym środowisku wszystkich pasjonatów — na Facebooku. Grupa *Roślinoholicy Poznań Porady/Wymiany/Adopcje/Sprzedaż* liczy sobie około 13 tysięcy członków. Kto jest z Poznania i kocha rośliny, ten już z pewnością w niej jest. W czerwcu tego roku minę 4 lata od jej założenia. Przez ten czas zmieniło się wiele, ale na pewno nie atmosfera przyjaźni, relaksu, luzu. To wyjątkowe, lokalne, roślinne społeczeństwo powstało z inicjatywy dwojga poznańskich pasjonatów — Agnieszki i Tomka Lurki.

Od fauny do flory

Zaczęło się niewinnie i od zupełnie innej pasji — hodowli zwierząt egzotycznych. Potrzeba okazała się matką wynalazku. Tomek i Agnieszka chcieli zapewnić swoim gadzim podopiecznym mały, egzotyczny i przytulny świat, a więc zaczęli zapełniać terraria roślinami. W specyficznej temperaturze i wilgotności flora zaczęła rozwijać się bardzo szybko, a ich dopadła klęska urodzaju i nadwyżki sadzonek. Gdy okazało się, że nie mogą dłużej uszczęśliwiać nimi rodziny i znajomych, trzeba było poszukać nowych rodziców adopcyjnych.

I tak powstała grupa poznańskich roślinoholików. Cel? Umożliwić sprzedaż nadmiaru zielonego dobra, a także dać możliwość pochwalenia się swoimi egzemplarzami. — Początki nie były łatwe, lecz podchodziliśmy do tematu z dużym dystansem. Na początku tylko my dodawaliśmy posty, dlatego w ogóle nie podejrzewaliśmy, że ten projekt odbije się tak szerokim echem — mówi Tomek.



Z terrarium na parapety

Z biegiem czasu proporcje w zielonym inwentarzu bardzo się zmieniły. Rośliny wyszły poza „gadzie domki” i przejęły doniczki. — Nic w tym dziwnego, bo chlorofil płynął w naszych żyłach od zawsze. Zawdzięczamy to naszym rodzicom i dziadkom, którzy nieświadomie wprowadzili nas w ten świat, stawiając w roli przypadkowych świadków podlewania i pielęgnowania ich roślin. Nie od dziś wiadomo, że ludzie starsi posiadają nadprzyrodzoną moc prowadzenia olbrzymich i zdrowych okazów roślin bez przejmowania się o twardość wody czy jakość podłoża! — wspomina Tomek.

Niezbitym dowodem na to, jak wspaniałą więź przez lata może stworzyć z rośliną człowiek, jest historia, która wydarzyła się w grupie naprawdę. Jedna z członkiń chciała pomóc sąsiadce w sprzedaży wieloletniej, pięknej monstery i spłacie długów. Historia chwyciła za serce członków grupy. Choć roślina miała spory potencjał i łatwo znalazłaby nabywcę, roślinoholicy woleli pomóc kobiecie, by nie musiała żegnać się z ukochaną rośliną. Jeśli nie wiesz, dlaczego, pewnie nigdy prawdziwie nie kochałeś. Nie kochałeś rośliny z wzajemnością.

Z domowego zacisza do lokalnej społeczności

Grupa nabrała rozpędu mniej więcej po roku działalności. Prawie z dnia na dzień, nie wiadomo skąd, pojawiło się mnóstwo nowych członków. I tak powstało lokalne roślinne społeczeństwo. Przygoda z grupą jest dla Tomka i Agnieszki wspaniałym, życiowym doświadczeniem. Nie pozwala im się nudzić, nieustannie zaskakuje, uczy, a także wpływa na ich prywatne życie. Grupa zyskała przejrzystą strukturę, która szybko się rozrosła. Dzięki niej, Tomek i Agnieszka mogli obserwować nowe trendy, które gatunki roślin zyskują lub tracą na popularności.

Gdy powstaje ten artykuł, na topie jest hashtag #calathea. Aż 63 posty w grupie zostały nim oznaczone. Trend widać nie tylko w grupie, ale także w ofercie popularnych marketów. Calathei po piętach depcze alokazja — przez roślinoholików zwana piesszczotliwie eutanazją, ze względu na swoje wyśrubowane wymagania i skłonność do umierania nagle i zniemacka. Coraz więcej zapytań dotyczy tak zwanych roślin kolekcjonerskich. Choć ich ceny sięgają kilkuset złotych za fragment pędu z jednym liściem, traktowane są jak finansowa inwestycja. Często pojawiają się także pytania o szkodniki (#cotozarobak) oraz gatunek rośliny, którą

otrzymało się np. w prezencie (#cotozaroślina). Od momentu pojawienia się posta mija raptem kilka minut, a nierzadko tylko kilka sekund, i już znasz odpowiedź na swoje pytanie.

Od mody do uzależnienia

Administrowanie tak liczną grupą to odpowiedzialne zajęcie, które angażuje w zasadzie przez całą dobę. Pracy jest sporo, a grupa ma jedynie 3 administratorów. — Bracia i siostry w zielonej pasji nie dają nam ani godziny spokoju! W przerwie między akceptowaniem postów, zajmujemy się... akceptowaniem postów. Niektórzy dodają posty w środku nocy. Jeśli nie jest to uzależnienie, to nie wiem, co nim jest (śmiech)! — dodaje Agnieszka. Codziennie obserwują rosnącą wiedzę i umiejętności współuzależnionych, podziwiają coraz rzadsze i bardziej wymagające gatunki w prywatnych kolekcjach.

Jak widzą grupę sami członkowie? Wyczytałam, że *grupa to azyl, wspaniali ludzie równi we współuzależnieniu, cisza spokój i tylko zieloność, bez komercji, korporacji i dzikich tłumów*. Ktoś wyznaje, że za sprawą tej grupy w kilka miesięcy został roślinnym freakiem, inny, że odkrył, iż jego dom jednak jest z gumy, ktoś inny zaczął doceniać lokalne wymiany roślin, bez konieczności i ryzyka związanego z wysyłką. Pojawiło się nawet porównanie grupy do... *roślinnej Wikipedii!*

A co sądzą o roślinoholikach inni? — Niektórzy nasi znajomi są zdania, że nie mogliby spać w domu pełnym roślin, bo... musi być w nim dużo pajaków. To oczywiście nieprawda... do tego trochę szkoda, bo przecież mówi się, że szczęśliwy dom, gdzie pająki są! — śmieje się Agnieszka. Posządzenia o wilgoć i grzyba w domu też się zdarzają.



Jej zdaniem dbanie o rośliny uczy wrażliwości i wpływa pozytywnie na pogodę ducha. — Choć roślinoholicy dość specyficznie postrzegają świat, myślę, że jesteśmy odbierani pozytywnie — dodaje.

Czy roślinoholizm to już moda? Zdaniem Tomka i Agnieszki tak, ale taką na całe życie. Jeszcze jakiś czas temu roślinoholicy mogli być uważani za freaków, odszczepieńców z dziwną, niezrozumiałą pasją. Dziś dziesiątki roślin nikogo nie dziwią, wręcz przeciwnie. — Ale jak każdy -holizm, także i roślinoholizm może mieć swoje ciemne strony, na przykład, gdy przekształca się w zbieractwo. Tu przygarniemy roślinę do odratowania, tam weźmiemy ją od kogoś, kto sam nie ma na nią miejsca. Spontaniczne i nadmierne łowienie okazji kończy się tym, że chwilę trzeba się również czegoś pozbyć. I tak w kółko — zauważają.

Jeśli nie potrafisz wrócić ze sklepu bez nowej rośliny, nawozy, paliki, doniczki wydajesz więcej niż na siebie, nie możesz otworzyć okna bez przemeblowania na parapecie, a widok „bejbika” w doniczce czy nowego listka cieszy Cię bardziej niż urodziny bratanicy, to jest wysoce prawdopodobne, że jesteś roślinoholikiem. I powinieneś poszukać wsparcia. Tomek, Agnieszka i około 13 tysięcy braci i siostr w pasji przyjmą Cię z otwartymi ramionami.



Wakacyjne pocztówki ze Starego Browaru

▼
Tekst: Marta Kabsh

Foto: Jakub Wittchen

Stylizacje: 4MEN (Pasaż +1) i TUTU Polscy Projektanci (Atrium +2)



Pocztówka pierwsza. Piątek, godzina 11:00, Plac Starego Browaru od strony Ratajczaka. Jeszcze rok temu był tu wielki plac budowy. Dziś: nowe drzewa, kwiaty, trawy. Dziesiątki ławek i rowerowych stojaków. Nowoczesny miejski plac z prawdziwego zdarzenia. W przestronnym ogródku kultowej cukierni Sowa, nad filiżankami kawy i owocowymi kostkami, gawędzą seniorzy. Obrazek jak z Włoch — starsze osoby cieszące się zasłużonym wolnym przedpołudniem na emeryturze. Przy fontannie jakaś mama robi zdjęcie kilkulatkowi, próbującemu dotknąć tryskający w górę strumień wody. Trzy przyjaciółki z torbami zakupów usiadły z kawą na amfiteatralnych ławkach-schodach. Ja wybieram miejsce bliżej ulicy Ogrodowej. W cieniu kwitnącego kasztanowca poczytam chwilę książkę przed powrotem do biura.

Pocztówka druga. Sobota, godzina 19:00, Dziedziniec. Jest taki moment w roku, kiedy w Starym Browarze nieoficjalnie zaczyna się lato. W jedną z majowych nocy z Dziedzińca znikają szklane przegrody. Przejście z Atrium do Pasażu to teraz szeroka przestrzeń między sklepem COS a Słodownią. Przy restauracyjnych stolikach grupy przyjaciół, rodziny, turyści. Przyjemny szum rozmów i śmiechu. Pary na randkach szepczą do siebie nad kieliszkami z winem. Przechodząc, ukradkiem zaglądam gościom w talerze. Kolorowa sałatka w Werandzie, wykwiłtne sushi w Matii, soczyste kawałki steków w Whiskey in the Jar. Dołącza do mnie przyjaciółka. Cudem znajdujemy wolne miejsce w ogródku Dolce Vita. Zamawiam risotto — najlepsze w Poznaniu.

Pocztówka trzecia. Wtorek, godz. 18:00, Park. Zajadam w najlepsze truskawkową tartę w ogródku Petit Paris, kiedy zaczyna się szturm. Już prawie setka osób zajęła miejsce na matach pod kasztanowcami. Energiczna trenerka rozpoczyna sesję. Uczestnicy rytmicznie zmieniają pozycje zgodnie z jej instrukcjami. Pies z głową w dół. Virabhadrasana — wojownik. Patrzę jak zahipnotyzowana na ćwiczących w ciszy ludzi oświetlonych złotym popołudniowym słońcem. Tuż obok, na wielkim placu zabaw, maluchy szaleją pod czujnym okiem odpoczywających na leżakach i ławkach rodziców. Namaste. Sesja jogi dobiegła końca. Amatorzy sportu na świeżym powietrzu z szacunkiem zwijają maty i rozchodzą się do kawiarnianych ogródków i na zakupy do wnętrza Browaru.

Pocztówka czwarta. Środa, godz. 21:00, Park, obok Dziedzińca. Pogoda dopisała. Co lepiej zorganizowani przyszli aż pół godziny wcześniej, żeby zająć leżaki “w pierwszym rzędzie”. Inni przynieśli swoje koce i wygodnie moszczą się na trawie. Ja, po królewsku, rozsiadam się w ogródku Sinnera, żeby przy kolorowym koktajlu delektować się seansem plenerowego kina. Momentami moją uwagę odrywa od filmu najlepszy widok na pełen majestatycznych drzew park. W tle słychać łagodny stukot projektora — na Letnim Kinie Starego Browaru filmy wyświetlane są “oldschoolowo” — z prawdziwej taśmy. Na afiszu kultowy “Rejs”. Wspólnie z innymi głośno śmieję się ze słynnych tekstów inżyniera Mamonia.

Pocztówka piąta. Niedziela, godz. 10:00. Ta handlowa, więc niespiesznie zaglądam do browarowych butików w poszukiwaniu letniej sukienki i nowego kostiumu kąpielowego na wakacyjny wyjazd. Po przeglądzie wieszaków w Atrium kieruję się jeszcze do sklepów w drugim skrzydle. Nagle Pasaż przecina mężczyzna w profesjonalnym stroju do biegania. I kolejny! I dwie kobiety! Dopiero teraz dostrzegam, że przez środek parteru przebiega oddzielona taśmą trasa. Klienci z zakupowymi torbami ciekawie przyglądają się sportowcom. Od pracowniczki punktu informacyjnego dowiaduję się, że w Starym Browarze trwa charytatywna sztafeta Miejska Mila. Drużyny biegaczy ścigają się po parku, placu i wnętrzach centrum. Organizacja — na medal. Niedzielne zakupy przebiegają bez zakłóceń, w powietrzu (zdrowe) sportowe emocje. Z nowym strojem kąpielowym w torebce przemieszczam się w kierunku zlokalizowanej w parku mety, żeby obejrzeć triumfalny finisz zwycięzców. Bo w Starym Browarze — wiadomo — na zakupach nigdy się nie kończy.

Treningi z Harder w Parku Starego Browaru
od 1 czerwca (wt., czw. sob.), wstęp wolny

Kino plenerowe
od 6 lipca (śr.), wstęp wolny

Miejska Mila: sztafeta i Bieg Gzuba
27 czerwca (nd.), zapisy na miejskamila.pl

Szczegóły: starybrowar.com



15.03.1971 godz. 20.45. Prorektor Politechniki Poznańskiej prof. Czesław Królikowski przecina wstęgę - taśmę radiową. Fot. Radio Afera

Budzi nas swoją kurą, funduje najlepszą z wielu pobudek, jest alternatywą w eterze i młodym radiem, młodych ludzi. Radio Afera ma 50 lat. Pierwsze przecięcie taśmy radiowej (nie wstęgi) pamięta dziennik emisji, który leży w archiwum Radia. Pierwszą audycję w eterze na Ratajach usłyszał student, którego życie Afera zmieniła na dobre. Historii o tej kultowej rozgłośni jest wiele, wśród nich dużo afer, a każda opowiedziana z pasją do dziennikarstwa i ludzi.

Jak sobie wyobrazić pół wieku? Co zmieniło się w mieście przez te 50 lat? Jacy byśmy byli, gdyby przyszło nam żyć w 1971 roku? Patrząc w górę na słońce – jest takie samo, patrząc w dół – ludzie zupełnie inni, z telefonami. Czego szukają lawirując pomiędzy wersami kolejnych informacji i my-

„W każdej poznańskiej redakcji jest ktoś z Afery”

50. urodziny Radia



Tekst: Viola Łechtańska-Błaszczak

śli? A gdyby tak informacji było jak na lekarstwo, jak wtedy w 71' i trzeba by słuchać ludzi, żeby wiedzieć, co się dzieje na świecie czy w okolicy? Świat stawał się wówczas coraz ciekawszy – *zauważają to studenci Politechniki Poznańskiej, którzy przy ograniczonych możliwościach chcą podzielić się swoimi przemyśleniami choćby z najbliższym otoczeniem. Skrzykują się, żeby stworzyć radiowęzeł, dzięki któremu sygnał nadawany z jednego z Domów Studenckich przy ul. Zamenhofa, trafi na korytarze innych akademików* – czytamy w informacji spisanej z okazji jubileuszu Radia Afera.

Po ogarnięciu całej infrastruktury pierwsza emisja programu Afery miała miejsce 15 marca 1971 r. o godzinie 20:00. Przecięcie wstęgi, a dokładnie taśmy radiowej, nastąpiło o godzinie 20:45. Po uroczystym otwarciu radia wyemitowano serwis informacyjny, a potem m.in. audycję pt. „Pojedynek B. Dylan – J. Baez, część I”. *Jednym z niewielu świadectw tego wydarzenia jest oryginalny (i wypełniany piórem) dziennik emisji, który zachował się w siedzibie Radia. Afera to pierwsza niepubliczna stacja nadająca w Poznaniu, przez pierwsze 20 lat w ramach radiowęzła – piszą redaktorzy Radia Afera.*

Aferę poznaniacy usłyszeli w eterze po raz pierwszy na przełomie 1990 i 1991 roku, wśród nich był Jacek Łuczak, który kilka tygodni później stworzył „Aferzysta Listę Przebojów”. Pierwszą dwugodzinną emisję programu Jacek Łuczak, 18-letni mieszkaniec Rataj, usłyszał w swoim mieszkaniu. – Radio Afera poszło w eter, a ja to uchwyciłem na swoim radiu tylko dlatego, że mieszkałem bardzo blisko. Politechnika jest tuż przy Ratajach, a ja mieszkałem na osiedlu Jagiellońskim, w tak zwanym spółdzielczym punktowcu, na którym był kiedyś napis PTTK. Zresztą moja mama cały czas mieszka w tej szesnastce. Wówczas, co weekend spotykaliśmy się z kolegami, żeby posłuchać listy przebojów Programu III Polskiego Radia Marka Niedźwiedzkiego. Każdy z nas chciał nim być, ponieważ kochaliśmy muzykę. I udało się. W końcu poszedłem do Afery, miałem tam przecież zaledwie 500 metrów. Najpierw szukałem tego radia, gdy już znalazłem – nie wszedłem, dopiero trzecia próba była udana. 4 lutego 1991 roku powiedziałem swoje pierwsze słowa na antenie – opowiadał nam Jacek Łuczak.

W latach 90-tych w eterze panowała anarchia, każdy mógł otworzyć swoje radio, mając odpowiedni sprzęt. Tak zrobili też ówcześni Aferowicze. *Grzegorz Świnder był twórcą pierwszego, niewielkiego nadajnika, który zamocowany na taśmę klejącą do kija został zamontowany przed*

Foto: Archiwum Radia Afera



50 LAT HISTORII
RADIA AFERA

Foto: Archiwum Radia Afera



50 LAT HISTORII
RADIA AFERA

Domem Studenckim. Pierwszą częstotliwością Radia Afera było 73,4 Mhz – przypominają radiowcy. Afera nadawała po piracku do 1995 roku, kiedy to w kwietniu otrzymała koncesję. Od tej pory działała już legalnie na częstotliwości 98,6 Mhz.

Do Afery zawsze były październikowe nabory. Jeśli chciało się mieć swoją audycję, biegać z mikrofonem, prezentować swoją ulubioną muzykę, wystarczyło przyjść na rozmowę. – Jesteśmy po to, aby wspierać młodą kulturę, młodych twórców, młodych dziennikarzy – taka nasza rola, którą pielęgnujemy od początku – mówi Piotr Graczyk, *Redaktor Naczelny. Oczywiście wielu kandydatów na dziennikarzy obawiało się swojej rozmowy kwalifikacyjnej (nie tylko Jacek Łuczak w latach 90-tych), a później wielu z nich okazało się najlepszymi specjalistami w swoim fachu. Każdy z nich pamięta swoje pierwsze kroki w Aferze. Wybieram opowieść Bacy czyli Bartłomieja Nowaka, Szefa Działu Promocji i Reklamy, który zadebiutował na antenie prowadząc „Tylko Rock’a” czy „DobraNOC czyli muzyka przed północą”. – Moja historia z Radiem Afera zaczyna się jesienią 1998. Marcin „Firestarter” wyhaczył mnie w holu budynku D na Szamarzewie i zapytał czy nie wpadłbym do niego do radia. To był najprawdopodobniej pierwszy poniedziałek po nowym naborze. [...] Powiedział, że komputerem musimy się dzielić, że internetu*

nie ma, a wszystkie telefony musimy zapisywać do zeszytu (03 prywatne, 04 służbowe). [...] Moja rola była prosta. „Weź coś zarób dla radia” – powiedział mi Marcin i z tym hasłem w głowie łąziłem przez kilka dni lub tygodni. Strzałem w 10. był powrót z sobotniej libacji w Koźminie i pusty kubek po kefirze walający się przy krawężniku! W poniedziałek dzwoniłem już do Kościana, Środy i na Dębiec! Tekst zawsze ten sam: „Mają Państwo najważniejszy produkt dla każdego studenta – KEFIR. Musicie się u nas zareklamować!” Podziałało! Kościan wykupił kampanię reklamową, a w kolejnym roku był naszym sponsorem urodzin. Dębiec udało się namówić 2 lata później. Tylko Środa jakoś tak nie chciała gadać. – opowiada Baca.

„Aferzastą Listę Przebojów”, krółą stworzył m.in. Jacek Łuczak, do dziś redakcja układa na podstawie głosowania słuchaczy. Oczywiście audycja ewoluowała, zmieniali się też prowadzący, jej częścią był momentami Edgar Hain, obecny redaktor programowy Radia Afera. To on miał wpływ na nowy kształt listy przebojów. Dziś Egdara znamy przede wszystkim jednak z „Aferanka” – to jego głos budzi nas każdego dnia. „Aferanek” ma zapewnić nam najlepszą z wielu pobudek, zwłaszcza teraz w pandemii. – To mają być trzy godziny, które napawają optymizmem. To ma być czas, w którym ludzie nie usłyszą smutnych informacji. Chcę fundować Poznaniakom enklawę normalności. W godzinach 6:30 – 10:00 na naszej antenie mamy usłyszeć dużo dobrej muzyki, dużo dobrego słowa, ciekawostek i mnóstwo śmiesznych akcji. Rano chcemy, by ktoś spowodował, że się uśmiechniemy. Tak jest na przykład z moją poranną kawą, która już stała się legendą. Jestem tutaj od rana sam, ponieważ mamy pandemię, więc nie mogę nikogo poprosić o przyniesienie mi kawy. Jeśli o tym nie wspomnę, słuchacze zaczynają zadawać pytania. – mówi Egdar Hain.

Data	Godzina	Tytuł audycji	Temat audycji	Redaktor	Współredaktor	Gość
20.10.24	10.00	2. audycja				
20.10.24	10.15	3. audycja				
20.10.24	10.30	4. audycja				
20.10.24	10.45	5. audycja				
20.10.24	11.00	6. audycja				
20.10.24	11.15	7. audycja				
20.10.24	11.30	8. audycja				
20.10.24	11.45	9. audycja				
20.10.24	12.00	10. audycja				

Foto: Archiwum Radia Afera

Foto: Archiwum Radia Afera



50 LAT HISTORII
RADIA AFERA

Afera jest radiem zaangażowanym, które skupia ludzi z zajawką, jest alternatywą w eterze. – Jesteśmy dla tych, którym przejadły się formaty. Gramy dużo muzyki polskiej, nie tylko rockowej. Gramy dużo nowości. Na rynku poznańskim mamy wielu wykonawców, którzy grają alternatywny pop. Wśród nich na uwagę zasługują dziewczyny, które tworzą niesamowite rzeczy i posiadają wyjątkowe wokale. Młode radio, młodych ludzi – to cały czas my. – mówi Piotr Graczyk. Aferę tworzą studenci ze wszystkich poznańskich uczelni. Redaktorzy swoich młodych kolegów uczą najważniejszych wartości dziennikarskich i obiektywizmu. – Nie ma w Poznaniu redakcji, w której nie byłoby kogoś z Aferą. Nie wszyscy nasi redaktorzy pracują w mediach, ale każdy z nich mówi, że bez Aferą nie byłby w tym miejscu, w którym jest dziś. Z drugiej strony staramy się tworzyć przestrzeń dla artystów. Afera co dwa tygodnie na żywo emituje „Koncertowe studio” – podczas tej audycji swoje kawałki prezentują nieznanne dotąd zespoły. Od dekady organizujemy „Akademicki Przegląd Muzyczny”, radio wystartowało też z cyklem „Afera DJ's Night”, której nie kontynuuje tylko przez pandemię. – wymienia Piotr Graczyk.

Więcej na 98,6, cześć!

ENEA EDISON FESTIVAL

TASTE THE MUSIC

KWIAT JABŁONI | SANAH | ARTUR ROJEK
ANIA RUSOWICZ | BARANOVSKI | LINIA NOCNA
BIBOBIT | SWIERNALIS | BARTEK KRÓLIK | THE COOL QUEST

23_24 LIPCA 2021
POZNAŃ / BARANOWO

ORGANIZATOR

GOOD TASTE
PRODUCTION

SPONSOR TYTUŁARNY

Enea

PARTNER

H
HOTEL
EDISON

WSPARCIE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU
PRZECIWDZIAŁANIA COVID-19

FUNDUSZ
REPERCJA
KULTURY

Niepozorne budynki skrywają ciekawe wnętrza. II Liceum Ogólnokształcące jest tego najlepszym przykładem. Z zewnątrz PRL, a w środku scenariusz niczym z filmu Wesa Andersona.





Poznańska kamienica

Czyli Poznań mniej znany



Tekst: Joanna Gruszczyńska

Zdjęcia i opisy: Joanna Lip

Kamienica jedyna w swoim rodzaju. Secesja w cegle. Prostota i abstrakcja zarazem. Gdzie? Przy Dąbrowskiego 35/37. Nie dowierzam, wychodzę przed mieszkanie, spoglądam w górę i dziwię się po raz drugi. Okazuje się, że perełek architektury nie trzeba szukać we Wiedniu, Berlinie czy Barcelonie. Są bliżej, niż myślimy. O tym, że Poznań kryje w sobie wiele tajemnic i wciąż zaskakuje, rozmawiam z Joanną Lip, autorką profilu [@poznanska_kamienica](#).

Profil [@poznanska_kamienica](#) wystartował rok temu. Dziś na Instagramie masz już prawie 30 tys. obserwujących.

Profil założyłam w sierpniu zeszłego roku, ale wszystko zaczęło się pięć lat temu, kiedy z Warszawy przyjechałam do Poznania, do pracy. Wcześniej przez prawie dziesięć lat mieszkałam w Trójmieście w typowych peere-



Wystarczy zrobić krok z ruchliwej ulicy, żeby znaleźć się w innym świecie. Poznańskie podwórka potrafią zachwycić

Często zdarza się, że nieciekawa, niezachęcająca fasada skrywa przepiękne wnętrza, którego nikt by się nie spodziewał.

lowskich blokach z wielkiej płyty, a w Warszawie na nowym osiedlu. Kiedy zamieszkałam na Łazarzu, byłam oczarowana okolicą i zapragnęłam poznać jej historię. Zaczęłam odkrywać Poznań, głównie za sprawą przechadzek z przewodnikami, aż w końcu sama postanowiłam zapisać się na kurs przewodnika miejskiego. Ukończyłam go w Kole Przewodników PTTK im. Marcelego Mottego. Idąc za ciosem, zaczęłam kolekcjonować literaturę, a następnie przenosić moje odkrycia i przemyślenia na Instagrama. Zawsze najbardziej interesował mnie przełom XIX i XX wieku. To z tego okresu pochodzą opisywane na moim profilu kamienice. Budynki

to główni bohaterowie postów – to przez pryzmat ich historii staram się przedstawiać miasto – tak, jak je widzę moimi oczami.

Ale Twój Instagram to nie tylko opisy i ciekawostki, bo można na nim znaleźć też piękne zdjęcia klatek, architektonicznych szczegółów kamienic i oczywiście ich fasad.

Nie jestem fotografką, ani nie robię zdjęć zawodowo czy hobbystycznie. Zakładając Poznańską Kamienicę, musiałam jednak zadbać o to, żeby moje teksty okraszone były zdjęciami. Instagram w końcu opiera się na przekazie wizualnym. Moje zdjęcia robię wyłącznie telefonem. Długo zastanawiałam się też, skąd tak duże zainteresowanie profilem, bo przecież kont na temat miasta jest sporo. Doszłam do wniosku, że to, co stanowi o wartości profilu, to właśnie ciekawostki i historie. Informacje, które zbieram o mieszkańcach kamienicy albo o historii samej dzielnicy, są dość trudno dostępne. Często, żeby sklecić sensownego posta, trzeba

przewertować sporo materiału. Z tego wszystkiego staram się stworzyć krótką i przystępną wypowiedź, esencję skomplikowanej historii. Może to kwestia mojego charakteru, bo zawsze lubiłam konkrety.

Gdzie w takim razie szukasz informacji?

Na mojej półeczce z książkami. (śmiech) Staram się ją powiększać i stopniowo uzupełniać, choć nie jest to łatwe. Większość pozycji wydawano w małym nakładzie, więc często można je znaleźć jedynie na Allegro, Olx albo w antykwariatach. Przykładowo, w antykwariacie na ulicy Paderewskiego zaopatruję się w starsze wydania, a w Centrum Informacji Miejskiej szukam nowszych pozycji. Szukam także w Internecie, na Facebookowych grupach czy blogach. Najbardziej jednak lubię książki – traktuję je jako rzetelniejsze źródło danych.

Masz jakąś ulubioną?

Tak i nie będzie to raczej zaskoczeniem dla tych, którzy interesują się tematem. Moim numerem jeden zawsze będzie Jan Skuratowicz i jego „Secesja w Poznaniu”. Dostać ten album to wyczyn, ale na szczęście się udało. W albumie znajduje się dużo pięknych zdjęć kamienic, fasad i detali, które zabierają nas w wędrowkę szlakiem poznańskiej secesji. Są tam również opisy budynków oraz dzieje poznańskich architektów tego okresu.

Czy udało Ci się znaleźć coś o kamienicy, w której teraz mieszkasz?

Niestety nie dokopałam się do takich informacji. Moja kamienica nie wyróżnia się niczym specjalnym, nie ma wielu zdobień. Jest dużo skromniejsza od sąsiednich, na temat których publikowałam wpisy na profilu. Nie każda kamienica była prestiżowym adresem. Takie ekskluzywne osiedle znajdziemy na przykład przy Parku Wilsona, na ulicy Matejki. Te realizacje zachwycają do dziś. Ja jednak nie chcę na profilu skupiać się wyłącznie na tych najpiękniejszych budynkach. W jednym z postów napisałam, że myśląc o dawnych czasach, lubimy wyobrażać sobie tę zamożną część społeczeństwa, noszącą piękne stroje, mieszkającą w 10-12 pokojowych mieszkaniach. To jednak tylko jedna strona medalu. Ciemną stronę funkcjonowania tych pięknych, kamienicznych mieszkań przedstawiła Joanna Kuciel-Frydryszak w książce „Służące do wszystkiego”, opisującej losy dziewcząt, służących w tych zamożnych rodzinach. W oficynach po dziś dzień znajdziemy specjalne wejścia, tylko dla służących, ukryte przed oczami odwiedzających budynek. Łatwo się domyślić, że nie powalają rozmiarem ani zdobieniami. Nie zapominajmy też, że Poznań pod koniec



Gmach sądu przy ul. Młyńskiej został ukończony w 1908 roku i funkcjonował początkowo jako Królewski Sąd Powiatowy.



XIX wieku zmagał się z ogromnymi problemami bytowymi. Dla przykładu, liczba ludności przypadająca na dostępną powierzchnię mieszkaniową była największa w całym kraju. Próbowano to rozwiązać, budując domy spółdzielcze dla niższych warstw społecznych, które nie mogły pozwolić sobie na zamieszkanie w prywatnej kamienicy czynszowej.

Na Twoim profilu przeczytałam, że planujesz poszerzyć działania i wyjść poza Instagram.

Zgadza się. Mam kilka pomysłów, ale zanim dojdzie do ich realizacji, musiałabym zrobić sobie przerwę od Instagrama. Prowadzenie profilu jest bardzo czasochłonne. Co środę na stories wrzucam posty dotyczące historii Poznania, a w niedziele omawiam konkretny budynek. Dwa materiały w tygodniu nie wydają się niczym wielkim, ale ich przygotowanie zajmuje mi zawsze kilka godzin. To oczywiście zależy od tematu – są takie, które mnie interesują, im poświęcam dużo uwagi. Przykładowo, na

„**Detale kryją się ciut wyżej. Polecam też zmieniać perspektywę. Przejść się drugą stroną ulicy albo wybrać inną trasę niż zazwyczaj. Warto też oglądać budynki o różnych porach dnia.**”

najbliższą środę szykuję (rozmawiamy w połowie kwietnia – przyp. red.) materiał o Twierdzy Poznań. To około sto lat historii naszego miasta, która wpłynęła na jego urbanistykę i aktualny wygląd wielu dzielnic. Z tych stu lat trzeba zrobić maksymalnie treściwe i krótkie story. Zadania nie ułatwia to, że tematy militarne nie należą do moich ulubionych. (śmiech)

Czy możesz zdradzić, co konkretnie planujesz?

Chciałabym wydać miniprzewodnik, który byłby autorską selekcją, zbiorem moich ulubionych budynków i ciekawostek, ułożonych w sensowne trasy spacerowe. Zależałoby mi na poręcznym wydaniu, żeby każdy mógł wziąć je w dłoń i eksplorować miasto. Wydaje mi się, że potencjał turystyczny Poznania nie do końca jest wykorzystany. W świadomości większości Poznania to Stary Rynek, Ostrów Tumski i w zasadzie tyle. Często zapomina się o tym, że znajduje się tu tyle pięknych, starych dzielnic. Ja przyjeżdżając do Poznania, nie miałam pojęcia, że takie tu w ogóle są! Może dlatego Łazarz wywarł na mnie takie wrażenie.

Co Cię najbardziej zaskoczyło, kiedy się tu przeprowadziłaś i zaczęłaś prowadzić profil @poznanska_kamienica?

Urzekła mnie poznańska gwara. To, jak dużo słów było mi obcych, oraz to, jak elementy gwary funkcjonują w codziennej mowie, jest niewiarygodne. Teraz po pięciu latach już sama często mówię „tej”, „bimba” czy „kejter”. Podczas kursu nie mogłam z kolei nadziwić się, jak ciekawą i bogatą historię ma to miasto. Kiedy już wyruszyłam w teren zbierać materiały, największe wrażenie zrobiły na mnie budynki publiczne: szkoły, szpitale, sąd, teatry, ale nie tylko. Często zdarza się, że nieciekawa, niezachęcająca fasada skrywa przepiękne wnętrza, którego nikt by się nie spodziewał. To, że od strony ulicy widzisz tzw. plombę, nie oznacza, że przekraczając próg, nie natkniesz się na secesyjne kafle.



Śledząc Twoje konto na Instagramie, zauważyłam, że są motywy i detale, które szczególnie lubisz. Czy mogłabyś o nich opowiedzieć?

Jednym z moich ulubionych motywów jest łaciński napis „salve”, który oznacza po łacinie „witaj”. Można znaleźć go np. na ulicy Szewskiej 19/20, Kochanowskiego 6, Dąbrowskiego 69 i Niegolewskich 8,10,11. Znajdziemy go w wielu odsłonach – na progu, na fasadzie czy na drzwiach. Do tej pory udało mi się upolować około 30 takich miejsc. Lubię też motywy związane z teatrem na kamienicy przy ulicy Ratajczaka 18. Nawiązują one do pasażu Apollo. Jeden z moich ulubionych detali znajduje się też na Domu Tramwajarza i są to mali chłopcy trzymający tramwaj.

Czy polecasz jakieś inne profile, które mogą spodobać się Twoim followersom?

Śledzę wiele profili podobnych do mojego, ale z innych miast: Szczecina, Warszawy, Krakowa czy Wrocławia. Jeśli chodzi o typowo poznańskie inicjatywy, to polecam profil Klatki schodowe warte Poznania (na Facebooku) oraz Blizny Poznania (na Facebooku i Instagramie), gdzie możemy zobaczyć porównanie zdjęć dawnego i teraźniejszego miasta. Bardzo lubię też profil i grupę na Facebooku Klatkowiec, gdzie znajdziemy klatki schodowe z całej Polski. Jeśli chodzi o coś do poczytania, to polecam profil @poznanczyk_pierwszowojenny na Instagramie. Jest jeszcze dużo kont tworzonych przez fotografów, skupiających się na naszym mieście. Są to m.in.: @poznaneye, @natt_man_, @mikepikczers, @nieoczywisty.poznan i @pieszo_z_wyboru. Myślę, że po polubieniu kilku, kolejne podpowiedzi pojawią się same.

Co byś poradziła tym, którzy po lekturze zechcą wyruszyć w miasto?

Przede wszystkim – nie śpieszcie się i patrzcie w górę. Na wysokości wzroku najczęściej są tylko witryny sklepów i - delikatnie ujmując – niezbyt ładne banery. Detale kryją się ciut wyżej. Polecam też zmieniać perspektywę. Przejsz się drugą stroną ulicy albo wybrać inną trasę niż zazwyczaj. Warto też oglądać budynki o różnych porach dnia. Za każdym razem można odkryć coś nowego.



Kręcone schody nieczęsto spotkamy w poznańskich kamienicach.



„Podaj jedzenie tak,
żebyś sam chciał je zjeść,
i takie, jakie sam lubisz”

Odwiedzamy Evil Steak House

Rozmawiał: Dawid Balcerek

Foto: BAGSTAR

Restauracja Evil Steak House działa w Poznaniu już od kilku lat. Trochę podróżowała po mapie naszego miasta, aby w końcu zadomowić się na ul. Podgórznej. Spotkaliśmy się z jej współwłaścicielem, żeby porozmawiać o dobrym jedzeniu oraz działalności restauracji, która nie zamyka się tylko na gotowanie. Jaki stek jest najlepszy? Czy Polacy znają się na stekach? Który z nich jest najlepszy? Na te i inne pytania odpowiedział nam mistrz fachu oraz ojciec diabelskiej kuchni, Piotr „Timi” Piotrowski.

Jak poradziły sobie Wasze lokale w tych trudnych czasach?

Postanowiliśmy wraz z Agnieszką Gromadą otworzyć nasze lokale dla „chętnych do współpracy na zasadach franczyzy”. Oprócz dowozów i jedzenia z odbiorem, w naszych lokalach odbywają się szkolenia z prowadzenia takiego lokalu jak nasz, oczywiście po uprzednim umówieniu się i w zachowaniu pełnego reżimu sanitarnego. W naszym EVILLOVYM SKLEPIE MIĘSNYM oferujemy surowe steki z instrukcją przyrządzenia i przyprawami, które można zabrać ze sobą do domu czy na grilla.

Ale przecież Polacy nie znają się na stekach. Prawda czy fałsz?

Oczywiście, że fałsz! Nie jesteśmy zaściankiem, dużo podróżujemy i próbujemy różnych kuchni z różnych stron świata. Polacy chcą, by steki smakowały dokładnie tak, jak w Brazylii czy Argentynie. Próbujemy sprostać temu wyzwaniu i chyba się to udaje, skoro nasze sale są oblegane.

Antrykot, polędwica, rostbef, a może T-bone? Co polecilibyś laikowi, który chce rozpocząć przygodę ze stekiem?

Polędwica jest najdelikatniejsza, ale dla mnie stek to kompozycja tłuszczu, czyli nośnika smaku, kości – źródła szpiku, i białka czyli budulca „masy mięśniowej”. Najlepiej zacząć z marmurkowanym rostbefe. Mięso



pośrednie w delikatności i smaku, gdzieś pomiędzy polędwicą, a antrykotem, to idealny start stekowy. Tylko szukajcie dobrego rostbefu!

A co ze stopniem wysmażenia?

Ja jestem zwolennikiem tzw. medium rare czyli średnio krwistego. Każde wysmażenie wyższe niż to, jest dla mnie „psuciem” mięsa. Stek ma być rare lub medium rare, tylko w ten sposób można zachować smak, elastyczność i kruchość mięsa sezonowanego. Tak właśnie serwujemy je w naszych lokalach.

Dobry stek uzupełniają dobre dodatki. Jakież?

Proponujemy grillowane warzywa, frytki belgijskie, bataty, sałatki ze świeżych warzyw z naszym autorskim sosem winegret oraz ziemniaka z pieca. O tym, co serwujemy do naszych steków, kluczowy jest sezon. W daniach stawiamy na prostotę.

Nie wszyscy znają historię Evil Steak. Przybliż nam historię i motto Twojej działalności.

To może wydać się ciekawe, ale pierwszy Evil powstał w 2013 roku jako... pizzeria. Dopiero w 2015 roku zaczęła się przygoda ze stekami, która trwa do dzisiaj. Evil to otwarta kuchnia. Jesteśmy czymś w rodzaju „przydomowego grilla” – przyjacielska i rodzinna atmosfera to nasz priorytet! Motto? Podaj jedzenie tak, żebyś sam chciał je zjeść, i takie, jakie sam lubisz. I to działa, bo goście faktycznie do nas chętnie wracają.



Opowiedz o daniach. Z którego jesteś najbardziej dumny, a które wyjątkowo trudno przyrządzić?

Dumny jestem z całej karty dań, którą oferujemy w lokalach. Nie ma w niej dań, których bym sam nie lubił, lub których bym się wstydził. W końcu sam jestem jej autorem. Odnośnie do trudności przygotowania: choć nie jestem z zawodu kucharzem, a technikiem mechanikiem, robię potrawy, które smakują tysiącom gości. Wszystko da się zrobić, jeśli się tylko umie i chce.

Evil to nie tylko steki. Miałem przyjemność próbować żebro i było wyśmienite. Co jeszcze znajdziemy w Twoim menu?

Furorę w naszych lokalach robi jagnięcina brytyjska. To jeden z naszych ostatnich pomysłów, zaraz obok dziczyzny. Niestety, z powodu pandemii sprzedaż dziczyzny została zablokowana. Jestem bardzo dumny z mojego Chillì con carne.

A co znajdziemy na barze? Widziałem kraftowe piwka pod Waszą marką...

Browar Sady stworzył dla nas trzy piwa, które zawojowały nasze Bary – pszenica, pils i ciemne ze śliwką. Na tym ostatnim robię wspomniane wcześniej, słynne już żebra wołowe.

Co znajduje się w chłodniach, które widać po wejściu do lokalu?

To szafy Grafena do sezonowania wołowiny na sucho. W nich nasze steki dojrzewają oraz zyskują swój niesamowity smak i aromat.

Czy w Polsce trudno jest dostać dobre mięso?

Ja powiedziałbym, że coraz łatwiej, ale niestety, nie przeciętnemu zjadaczowi. Coraz więcej firm natomiast sezonuje wołowinę i robi to z coraz lepszym efektem.

Pamiętam, jak jeszcze w poprzedniej lokalizacji przy ulicy Gwarnej robiliście Maraton Grillowania i biliście rekord Polski wynoszący 48 godzin nad grillem...

Akcja zakończyła się mega sukcesem, bo pękło nie 48, a 56 godzin. Ustanowiłem tym samym nowy rekord, do dziś zresztą niepobity. Jestem z niego bardzo dumny.

...a przy okazji wsparliście ważną inicjatywę.

Rekord biliśmy dla polskich Amazonek, kobiet po mastektomii piersi i chorobie nowotworowej. Chcieliśmy zrobić gest dla tych dzielnych dziewczyn.

Wiem, że wsparacie nie tylko Amazonki.

W 2014 postawiliśmy na wspieranie domów dziecka, sportowców oraz różnych fundacji dobroczynnych. W tej chwili mamy pod opieką ponad 30 zawodników z różnych dyscyplin sportowych.

Evil się rozrasta. Czy planujecie kolejne miasta po Szczecinie, Poznaniu i Gdańsku?

Dalsza ekspansja Evil zależy od naszych przyszłych i obecnych inwestorów. Każdy kto chce otworzyć nasz lokal, może liczyć na nasze wsparcie, jednak nie może zapominać, że stawiamy wysoko poprzeczkę. Nie każdy jest w stanie to „udźwignąć”, wolimy jednak stawiać na jakość, nie na ilość.

hultaj



tu
się pije
KOMPOT



#Poznan:

EVIL Steak House, Bike Cafe, Modra Kuchnia, Nare Sushi, Pastwisko Garbary, Pizza Pezzi, Restauracja Fortezza, Suszone Pomidory, Zagro Plaża, Ratajska Kuchnia i Wino, Mixtura, Bistro Kaja, Tama, Delikatesy Zielona Spizarnia, Pora Dnia, Kawiarnia Wypiek, Nadzieja, Zuper, Zdrowo Ukiszeni, Cukier Puder, Mięso na Plocie, Labaland, Restauracja Radosna, Gluten TAK, Bronx, Czarny Chleb, Burgerownia Sucholeska

all hultaj.co?



**Food
&
Friends**

ul. Szkolna 17
www.szkolna.cafe

rezerwacje:
+48 535 730 034





Nic nie jest czarno- -białe

IlustraDORA

– rozmowa z Dorotą Piehocińską



Rozmawiata: Nicole Piotrowska

Jej prace możemy podziwiać na stronach polskich czasopism. W swojej sztuce nie boi się poruszać tematów społecznych oraz wyrażać poglądów, z którymi nie zawsze wszyscy muszą się zgadzać. O byciu dla siebie szefową, wybieraniu odpowiedniej drogi i wychodzeniu ze strefy komfortu. O artystycznych wyborach porozmawiałam z ilustratorką Dorotą Piehocińską.



Wydawało mi się, że skoro nie poszłam do plastyka to nie mam szans, żeby się dostać na ASP. Byłam wychowana w duchu pewnej konsekwencji – skoro coś zaczęłam, wypada to skończyć. Zaangażowałam się bardziej w przygotowania pod ściśle przedmioty, takie jak matematyka, więc ostatecznie zdawałam na architekturę. Żyjemy w czasach, kiedy wybrane zawody możesz realizować bez kierunkowego wykształcenia, więc osta-

Z wykształcenia jesteś architektką, jednak od pewnego czasu z powodzeniem realizujesz się jako graficzka. Czy grafika to już Twoje ostatnie słowo i wiążesz z nią swoją przyszłość?

Wychodzi na to, że od trzech lat funkcjonuję w graficznym świecie. Jeszcze dwa lata temu pracowałam w agencji reklamowej, więc czas dzieliłam pomiędzy różne działania, a od roku praktycznie tylko ilustruję i pracuję nad swoimi projektami. Sporadycznie zdarza mi się robić wizualizacje architektoniczne wnętrz lub budynków. Na razie tu zostaję.

Kiedy zrozumiałaś, że grafika jest kierunkiem, w którym chciałabyś się realizować?

Rysuję od dziecka (śmiech). Wydaje mi się, że od zawsze miałam typowo graficzne myślenie i szybko byłam w stanie wiele rzeczy zwizualizować sobie w głowie. Nawet będąc na studiach architektonicznych na Politechnice, czułam, że dużo bardziej angażuję się w tematy stricte manualne – makiety, meble, kafle piecowe, rysunek sztalugowy. Chyba byłam na to skazana (śmiech). Przełomowym momentem, kiedy poczułam, że zawód ilustratora istnieje i można z niego żyć przenosząc rysunki nie tylko na papier, ale i inne nośniki, to Erasmus. We Włoszech miałam dostęp do różnorodnych wystaw. W Mediolanie w tym czasie odbywały się targi designu Salone del Mobile, więc ta wizualna sfera bardzo mnie w tamtym czasie zbombardowała i zachwyciła. Do tego okazało się, że ilustraDORA po hiszpańsku znaczy ilustratorka, więc potraktowałam to jako znak.

Żyjemy w bardzo wizualnych czasach, co daje nam możliwość komunikowania się praktycznie za pomocą samych obrazów.

Skąd w takim razie architektura, a nie od razu grafika? Potrzebowałaś czasu, aby dojrzeć do tej decyzji?



tecznie jestem bardzo zadowolona z tego, jak to się potoczyło. Poza tym w praktyce okazałam się zbyt abstrakcyjna do wykonywania ścisłego zawodu. Ostatniego dnia na etacie architekta zrobiliśmy imprezę i oficjalnie znalazłam się w klubie NBA – Nie Będę Architektem. Za to jestem w kolektywie ilustratorskim Ilunasjest – to coś znacznie cenniejszego.

Czy jako ilustratorka uważasz, że samym obrazem jesteśmy w stanie przekazać komunikat czy wymaga on komentarza?

W momencie, w którym mam wykonać ilustrację do prasy, stanowi ona graficzny komentarz do tego, co zostało napisane w artykule. To pewnego rodzaju esencja. Żyjemy w bardzo wizualnych czasach, co daje nam możliwość komunikowania się praktycznie za pomocą samych obrazów. Przekazując treści, na przykład za pośrednictwem mediów społecznościowych, mamy ułamki sekund, aby zainteresować odbiorcę. To musi być coś, szybka synteza estetyki i przekazu – uwielbiam to.

Idąc tym tropem... Uważasz, że ilustracja to dobry nośnik do komunikowania tematów społecznych, politycznych – związanych z otaczającą nas rzeczywistością?

Bardziej plakat niż ilustracja, ale tak, zdecydowanie. Mam szczęście wykonywać zawód, który umożliwia mi czynne uczestnictwo w wydarzeniach, które dzieją się dookoła nas. Na Strajk Kobiet przygotowałam grafiki udostępnione dla strajkujących, a na wybory parlamentarne i prezydenckie plakaty zachęcające do głosowania. Cieszy mnie ta użytkowość.

Mam szczęście wykonywać zawód, który umożliwia mi czynne uczestnictwo w wydarzeniach, które dzieją się dookoła nas.

Spotkałaś się kiedykolwiek z nieprzyjemnościami zawodowymi, które były pokłosiem Twojego udziału w różnych społecznych inicjatywach?



Nigdy bezpośrednio nie doświadczyłam nieprzyjemności z powodu manifestowania swoich poglądów, ale odczułam niewielki spadek obserwatorów w social mediach. To sprawia, że zostają ze mną osoby, które utożsamiają się z tym co robię, więc taki układ mi odpowiada. Podobnie sytuacja wygląda, gdy wrzucam zbyt abstrakcyjne Stories, ale cenię sobie autentyczność i wolność wyrazu.

W jednym z Twoich bio znalazłam informację, o wychodzeniu przez Ciebie ze strefy komfortu. Czym jest dla Ciebie ten proces?

Cały zeszły rok był dla mnie mocno przełomowy, bo zgrał się idealnie z moim przejściem na freelance. Wzięłam dotację, założyłam firmę, pracuję w domu, jestem sama sobie szefową. Wyjście ze strefy komfortu to dla mnie ogrom wątków – od współpracy z księgową i podejmowania decyzji, które projekty przyjmując, a które nie, po ustalenie własnych godzin pracy. Robiąc to, co się kocha, łatwo wpaść w pracoholizm. Pilnuję, by nie ulegać pokusie pracowania w piżamie! Tą strefą komfortu jest dla mnie decydowanie o swojej pracy – o tym czy biorę zlecenie i zarywam noc. Wszystko to sprowadza się do satysfakcji, bo podejmuję się obecnie projektów, które dają mi radość i możliwość rozwoju.

Miałaś kiedykolwiek moment wątpienia? Moment, w którym musiałaś podejmować się projektów, które nie dawały Ci pełnej satysfakcji, ale pozwalały zapłacić rachunki?

Jeszcze kilka lat temu myśląc o pracy ilustratorki, wyobrażałam sobie idyllę. Każdy zawód ma swoje ciemne strony. Mniej płatne zlecenia, z którymi mocno się utożsamiam przeplatają się lepiej płatnymi projektami, których nie czuję do końca. Są też sytuacje, gdy odnoszę sukcesy i czuję, że jestem na szczycie, a chwilę później muszę się procesować z klientem, który zamalowuje mój mural. Wtedy czuję, że moja praca nie jest doceniana. Mimo wszystko staram się zachować zdrowy rozsądek, bo nic nie jest czarno-białe.

be: www.behance.net/DORAilustra
ig: www.instagram.com/dorailustra
shop: www.ilustradora.pakamera.pl

Z D R O W E J E D Z E N I E



R E Z E R W A C J E :
REZERWACJE@RZEMIESLNICZA.COM
LUB TELEFONICZNIE +48 574 697 466

MOŻLIWOŚĆ ORGANIZACJI IMPREZ OKOLICZNOŚCIOWYCH
WE WSPÓŁPRACY Z TAMA

OD WTORKU DO PIĄTKU W GODZINACH 13:00-17:00
DWUDANIOWY LUNCH ZAWSZE W CENIE 24 PLN



RZEMIEŚLNICZA



„Nieładnie to moje alter ego”

Wywiad

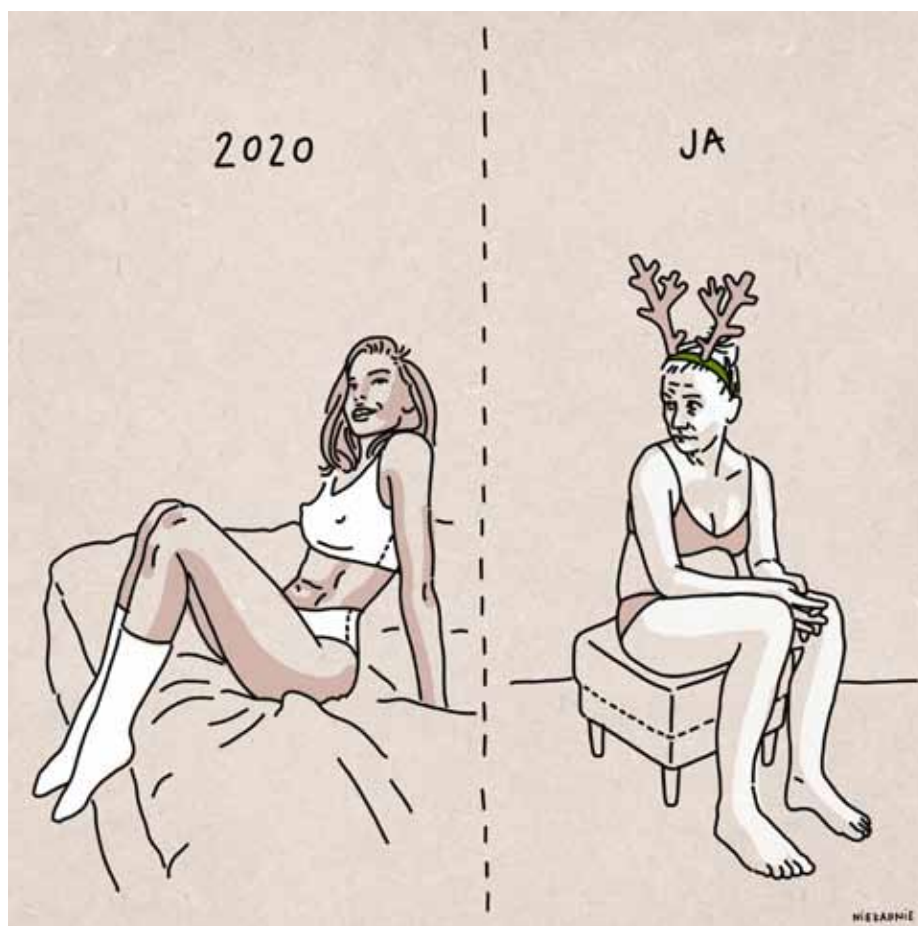
z Kamilą Szczęśniak



Rozmawiała: Natalia Bednarz

Choć – jak sama mówi – nie umie w przecinki i ortografię, jej satyryczno-komiksowe ilustracje pod szyldem Nieładnie podbijają sieć. Dlaczego? Bo działają jak lustro. Można się w nich przejrzeć, zobaczyć swoje nieidealne życie jak na dłoni i obśmiać to wszystko ku zdrowotności. Na początku tego roku nakładem Wydawnictwa RM do księ-

garń trafiła książkowa selekcja rysunków z ostatnich lat Nieładnie. „Wielka księga fakapu” udowadnia, że głupota i dawanie dupy, to znaczy ciała, jest udziałem nas wszystkich. Przeczytajcie, co o swoich obrazkach, życiu, charakterze, ścianach w domu, a nawet świetle do rysowania ma do powiedzenia jej autorka.



Jesteś obecna w mediach społecznościowych od 2016 roku. Co się od tego czasu zmieniło?

Całe życie rysowałam do szuflady. Pięć lat temu pomyślałam, że skoro jest już tak pełna, że prawie nic się w niej nie mieści, to może czas wyjść z tym do ludzi. Od tej chwili zmieniło się wszystko. Zeszłam się z mężczyzną, „przez którego” założyłam Nieładnie. Uspokoiłam się, ułożyłam, zostałam matką, wyprowadziłam z Poznania do Warszawy. Przełomem była trzyczestka. Minioną dekadę imprez, szaleństw młodości, studenckiego życia, głupich pomysłów i jeszcze głupszych ich realizacji wspominam z rozczuleniem i tęsknotą za niezależnością, ale także zażenowaniem – tym, jak niemądra byłam. Wiem jednak, że gdyby nie te wszystkie błędy, nie byłabym tu, gdzie teraz jestem, a właśnie rozkręcam firmę, sklep, myślę o drugiej książce. Mój syn ma prawie dwa lata i choć przez większość życia sądziłam, że nie chcę i nigdy nie będę mieć dzieci, to oszalałam na jego punkcie.

Skąd pomysł na nazwę NIEŁADNIE?

Od razu powiem, że nie jest to wyszukana, przemyślana i przepracowana nazwa. Zwykle rozpoczynając działalność czy to artystyczną czy biznesową, starannie dobieramy określające ją słowa. U mnie było inaczej. Nie miałam konkretnego planu, celu, zamysłu, czym ma być mój fanpage. Siedziałam w swojej ówczesnej pracowni, byłam trochę w dołku, trochę na rozstaju i trochę w zaprzeczeniu. Nic mi nie wychodziło, a gdyby mnie wtedy zapytano „co u Ciebie?”, to odpowiedź prawdopodobnie składałaby się w 90% z bluzgów. Szukałam więc słów określających taką postawę „na wspak” względem świata. Nieładnie zdawało się być nazwą najbardziej przystępną.

Twoje rysunki – mimo że rozbawiają – to są jednak w większości ciut niepokojące. Jesteś raczej optymistką czy pesymistką?

Pesymistką. Totalną pesymistką, samotniczką, gburowatą malkontentką z oceanem melancholii w kieszeni. Większość rzeczy w życiu widzę w ciemnych barwach. Nieładnie jest trochę moim alter ego, przełamaniem, zaprzeczeniem mojego patrzenia na świat. Choć najczęściej powoduje śmiech, to jednak w sposób bardzo dla mnie charakterystyczny, jako konglomerat cynizmu i sarkazmu. Jestem typem obserwatora, uwielbiam studiować rysy i pęknięcia na naszych ludzkich powłokach. I choć pracuję nad tym od lat, uczyć się widzieć więcej, to zmiana własnej optyki jest chyba najtrudniejszą rzeczą. Mam też taki defekt, że nie widzę przysłowiowej czerni i bieli. Jestem zwolenniczką szarości w jej nieskończonej liczbie odcieni, dlatego stronię od moralizowania, głoszenia prawd życiowych i wygłaszania jedynych słusznych opinii na jakikolwiek temat. Świat jest bardziej złożony, niż się wydaje.

NIE CHCE MI SIĘ
GADAĆ Z LUDŹMI

NIE PRZEJMĘ SIĘ,
TO MI NIE, OD KIEDY
TAK MASZ?

OD URODZENIA



Samotniczce pandemia musi być na rękę? Nie dość, że dostarcza tematów, to jeszcze pozwala zostać w domu i poświęcić się tworzeniu.

Jestem nie tylko samotniczką, ale domatorką. Uwielbiam być sama. Od zawsze pracuję zdalnie, nie sprawia mi to najmniejszego problemu i nie zamierzam tego zmieniać, dlatego lockdown to dla mnie bułka z masłem. Tak naprawdę to nie pandemia mnie „uziemiła”. Pół roku wcześniej urodził się mój syn i nastał czas karmienia, pieluch, kolek, ząbkowania, alergii, nieprzespanych nocy. Od dwóch lat jestem w trybie standby, a że nie mamy w Warszawie ani dziadków ani rodziny, której można by młodego podrzucić, to tzw. pokusy życia zewnętrznego zeszyły na drugi, trzeci albo i czwarty plan. Taki czas.

Jak długo powstaje jeden obrazek? Co trwa dłużej: dopracowywanie napisów czy ilustracji?

Samo rysowanie trwa około dwóch godzin. Czasem, przy dobrym wietrze, uwinę się nawet w godzinę, innym razem i trzy nie starczą. Siadając do rysunku, tekst mam już gotowy, zapisany gdzieś na kartce czy w telefonie. Długo nie mogłam znaleźć miejsca do zapisywania pomysłów, gubiłam je, zapomniałam i w rezultacie przepadały. Od jakiegoś czasu wysyłam je do siebie jako wiadomości na Messengerze i mam wszystkie razem. Siadając rano do obrazka, scrolluję konwersację z samą sobą i wybieram, co dziś narysuję. Najważniejszy jest pomysł, a te przychodzą, kiedy chcą. Rzadko mam rysunki „na zapas” – raczej codziennie rano siadam i rysu-

ję. Kiedyś rysowałam wieczorem, w nocy, przy winku, ale to się ostatnio zmieniło. Teraz wieczorami śpię, a winko piję bardzo rzadko, bo Janek, mój syn, lubi wstawać o 5:00.

Co Cię inspiruje?

Na przykład to, że słyszę to pytanie w każdym wywiadzie (śmiech). I przysięgam, zrobię z tego rysunek. Już zapisuję. Wypatruj na profilu za jakiś czas.

Wspaniale, będę śledzić! A jak już przy śledzeniu jesteśmy, na które profile innych rysowników zaglądasz?

Joan Cornella, wybitny, o dość apokaliptycznym poczuciu humoru. Porolny Drawn Lines – komiksowe, rozbijające. Janek Koza – uwielbiam. Paweł Jaroński czyli radość.wesołość. Andrzej Milewski czyli AndrzejRysuje, ale to chyba każdy zna.

A co wisi na ścianach w Twoim domu? Twoja twórczość czy prace innych?

I moje, i innych. Uwielbiam, po prostu uwielbiam Macieja Sieńczyka. Marzę, żeby kupić jego oryginalne prace, ale na razie średnio mnie na to stać. Kto jeszcze? Janek Koza – bezkonkurencyjny mistrz społecznych obserwacji. Magda Danaj – za całokształt. Magdalena Pankiewicz, bo w jej

portretach kobiet jest nie tylko piękno, ale też tajemnica. Gosia Herba robi piękne rzeczy. Joanna Concejo, która zresztą także skończyła ASP w Poznaniu. Oj, długo by tu wymieniać, bo ściany lubię mieć poobwieszane. Jednak rzeczy na nich nie traktuję jak stałych. Jak mi się coś opatrzy to zmieniam, przewieszam, kombinuję.

Zmieńmy na chwilę temat. Gdy nie rysujesz komiksów, badasz oświetlenie biologiczne. Jest tematem Twojej rozprawy doktorskiej. Opowiedz o nim?

O tym to ja mogę gadać bez końca (śmiech). Ale spróbuję zwięźle. Ruch obrotowy ziemi sprawia, że w dzień jest jasno, ciepło i bezpiecznie, a w nocy zimno, ciemno i straszno. Wszystkie organizmy na naszej planecie, włączając te najprymitywniejsze, jak bakterie i glony, przystosowały się do rytmu „dzień – noc” i wykształciły mechanizmy odpowiedzialne za regulację swojej aktywności w ciągu doby. Nazywamy je zegarem biologicznym. To mechanizm filogenetycznie stary jak świat. Dzięki niemu narządy, tkanki i komórki naszego ciała mają stałą dynamikę funkcjonowania – pobudka, posiłek, aktywność, odpoczynek, sen itd. Barwa światła słonecznego w ciągu dnia zmienia się – rano jest chłodna (i zawiera światło niebieskie), po południu i wieczorem jest ciepła (już bez udziału światła niebieskiego). Światło niebieskie nas pobudza i blokuje produkcję melatoniny, co sprawia, że nie możemy spać. Bez snu nie ma regeneracji, a brak regeneracji prowadzi do chorób. Koncepcja oświetlenia biologicznego opiera się na założeniu, że oświetlenie sztuczne powinno tak, jak słoneczne, zmieniać swoją barwę w ciągu doby. Dziś, gdy 90% swojego czasu spędzamy w pomieszczeniach zamkniętych i sztucznie oświetlanych, a od najmłodszych lat bezustannie korzystamy z telefonów, tabletów, komputerów i telewizorów emitujących niebieskie światło, jest to szczególnie istotne.

A sama rysujesz przy świetle dziennym, czy sztucznym?

Przy dziennym. Zresztą, teraz rysuję głównie na tablecie, więc nie ma to większego znaczenia. Apple już kilka lat temu wprowadził do swoich urządzeń funkcję Night Shift, która automatycznie „zażółca” ekran według wybranego przez nas harmonogramu. Włączyłam ją na wszystkich sprzętach od zmroku do wschodu.

Skąd pomysł na książkę?



To nie był mój pomysł. Sami do mnie przyszli (śmiech). Pewnego dnia dostałam maila z wydawnictwa, że może bym chciała, że oni bardzo chętnie. Wyobraziłam sobie moją, moją własną książkę na półce w Empiku, ostatecznie jednak pomyślałam, że to niemożliwe. Okazało się, że pisali serio. No to pomyślałam: czemu nie? I doczekałam się tej półki w Empiku. Niesamowite przeżycie! Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam z siebie taka dumna.

Pisałaś, że kosztowała Cię wiele nerwów. Co powiesz, gdy mijają 2 miesiące od premiery – warto było?

Tak! Warto było wyjść z szuflady i warto było wyjść z internetu na papier. Książką zainteresował się TVN, a potem pojawiły się kolejne propozycje. I choć cały ten szum związany z książką był dla mnie ogromnie stresujący, to jakoś to przetrwałam. Zakładam firmę, otwieram sklep, odzywa się coraz więcej firm z ofertą współpracy. To był bardzo dobry krok.

Będzie kontynuacja?

Mam nadzieję!

Miłość wzrastania



Tekst: Malika Ledeman

Czasem warto nie wiedzieć. Zrezygnować z nadgorliwych znaków zapytania i kropek stanowiących życiowe osądy. Dlaczego sądzisz, że sądzić Ci wolno? Wszystko i wszystkich, gdy za pewnik bierzesz książkowe okładki. „Weronika postanawia umrzeć”, bo „Serce umiera ostatnie”, by bujać w obłokach z „Nadzieją” Dickensa. Miłość nie jest zbrodnią ni karą. Nie przyłączyłabym do niej dumy czy uprzedzenia, a jedynie kafkowskiego „Procesu” usypałabym ścieżkę. Podobnie jak u Wirginii, „miłość” to zbiór esejów wybranych. Tu każdy bohater ma własną historię.

„Malika, mogłabyś napisać czym jest miłość”. Idę w milczeniu, bo jak opisać coś nad czym głowili się Goethe, Homer, Słowacki czy Zola na kartach swoich powieści. Jedyne skojarzenie miłości, które maluje się w głowach większości ludzi, to obraz czerwonej plamy z dwoma brzuskami. Zakończenie mają jak główki od igiełek – spiczaste i okrągłe w tym samym czasie. Przedszkolanki uczą, że nazywamy to sercem, by pięć lat później Pani od biologii powiedziała nam w szkole, że składa się ono z dwóch komór, dwóch przedsińków i pompuje około 7 tysięcy litrów krwi w ciągu doby. Malinowy rozrusznik daje tlen każdej komórce, kurczy się i rozkurcza wybijając rytm życiu. Jak więc można ograniczyć ten narząd jedynie do niewielkiej plamy na laurce dla babci? Podobnie jest

z miłością. Potrzeba jej nazwania jest w naszej głowie. Dla wygody – nie swobody wolności umysłu.

Mówiąc

Zawężenie tego zagadnienia do jednej definicji i kilku tworzących ją słów stanowiłoby ogromny ostracyzm tego wyrazu. Wyraz wyrażający zbyt wiele. Jedyne co mogłabym napisać o miłości to to, że jest słowem. „Miłość” to słowo. Takie, które nie przynależy do żadnej z grup, tak jak psem określa się zwierzę o czterech kończynach z rodziny ssaków. Miłość nie jest rzeczą. Miłość nie jest miejscem, człowiekiem też nie jest ani nawet jednoznacznym uczuciem się nie mianuje. Nie ocenia. Błędnie jest myśleć, że daje jedynie szczęście. Z miłości wiele można wycierpieć i nocy wypłakać. Miłość więc nazwałabym po prostu słowem – wyrazem, który w poniedziałek oznacza wewnętrzny spokój, we wtorek deptany zostaje butem w kałuży, by w niedzielę zamienić się w burzę majową. Majowa Królowa, gdy lubisz w dreszczowce. Chcąc być kobietą rodem ze skandynawskich wierzeń lepiej rozważnie brać słowa za pewnik. Wirowanie o świcie w melodii tysiącu tańców może skutkować spalaniem ukochanego na stosie. Więc proszę, nie pytaj mnie o miłość, a przynajmniej nie oczekuj jednoznacznej odpowiedzi. Bliższe są mi jedynie symptomy. Na pierwsze mam Maria, na drugie Malika. Bierzmowania nie miałam, by pewnością mieć Wery.

Sącząc

Wydaje mi się, że pewności takiej nie może mieć nikt. Osoby, chcące obdarować miłością innego człowieka bądź miłość wziąć w garści, będą kierowane pewnego rodzaju poczuciem niedosytu. Stanu kontrolowanego niedopełnienia. Takiego, który sączyć można przez tysiące dni i setki nocy.

Zasiadając przy stole z filiżanką wypełnioną miłością wydaje mi się, że kompanią do wypicia porannej kawy mogłaby stać się Pani Tokarczuk. By docenić jej twórczość niekonicznym było czekanie do oswojenia się z myślą, że przywdzieją Polce słowiański wianek literackich nagród. Już w roku 2012 „Moment niedźwiedzia” w nieświadomy sposób nakreślił brak ramowości wiedzy – tym samym miłości. Ta prosta, heterotopijna (przyp. red. „heterotopia – świat stworzony przez autorkę, stanowiący utopię dzisiejszej rzeczywistości) analogia do znanej myśli Sokratesa „Wiem, że nic nie wiem” bez wątplenia może zostać ułożona na szalce z miłością. O ile społeczeństwo oswoiło się już brzmieniem starożytnej myśli, przyklaskującej zgłębianiu niewiedzy, tak ciekawym wydaje się fakt, że zrównać ją można z wyrazem bez definicji. Brak miłości słownikowych definicji czy miarodajnych wyliczeń.

Wychodząc z tego założenia okazuje się, że im więcej miłości damy tym bardziej napędza nas ona do dalszego działania. Chcemy być blisko – nie tylko spełniając własną chęć wysyłania dobra, ale i wsłuchując się w potrzeby drugiej osoby, drzewa czy śpiewającego słowika. To bardzo ważne. Należy bowiem pamiętać, że miłość nie jest słowem ludzkim. Kultura nazewnictwa nakazała wymyślić ludziom rozpoczynający się na „m” i kończący na trudne „ć” wyraz (choć i tu jedynie litery zgadzają się w polskim słowniku), lecz miłość może być zawsze i wszędzie. Słowo „miłość” możemy położyć na każdej z półek. Odnajdzie się zarówno w towarzystwie soczystego mango, jak i stanowiąc sąsiadkę imadła. Brak jej wektora czy przynależności rasowej. Jej pełnia okazuje się studnią bez dna.

Topiąc

Jednak podobnie jak świat nie stawia jedynie kół i krzyżyków na planszy, tak istnieją na nim również ludzie, dla których „miłość”, to synonim braku komplikacji. Ich życie i tak jest skomplikowane. Możliwe, że poziom utrudnień wzrasta – chociaż to dzisiejsza rzeczywistość sprawia, że konary w nienaturalny sposób występują na drodze horyzontalnie. Przyzwalamy na to. Naturalnym więc jest, że wiele rzeczy upraszcza sobie sami

nie doszukując się w życiu czainowskich szczelin. Rzeczywistość jest dla nich kwestią zastaną.

„Miłość jest wtedy, gdy kocha się kogoś bardzo mocno, kwiatka można dać, serce narysować, miłe słowo powiedzieć” – powiedziała jedna z osób w grupie niepełnosprawnych. Wśród ludzi z upośledzeniem umysłowym słowo „miłość” przechodzi z rangi transparentności do czegoś namacalnego, co pojąć można zmysłami. Tylko taką ją obserwują. Miłość można więc ofiarować, co przyjmuje często postać symbolicznego przedmiotu, a nawet można ją jednoznacznie wyrazić słowami. Miłość jest wtedy, gdy się kocha. Należy jednak pamiętać, że czasownik „kochać” występuje w aspekcie niedokonanym. Teraz, wcześniej i później. Kochaj więc

ciągle, prosto, bez granic. Granice to wymysł naszych umysłów, więc uczmy się od tych, którym przeskończyć je łatwiej. Miłość może rozczulać, a dla niepełnosprawnych często przybiera ona jednoznaczny kierunek. Tam w stronę Piotra, Bożenki czy rysunku na płótnie.

Obserwując

Popkultura nigdy nie władała pędzlem w precyzyjny sposób. Nie w kontekście pojęcia miłość, chyba, że za romantyczną uznamy kolację przy świecach wśród słynnej puszki z zupą Campbella. Dzisiejszy świat upraszcza to zagadnienie, zawężając go do kilku kresek ze zmienną grubością pędzla czy kreując dialogi filmowych produkcji. Twórcy sprowadzają miłość do rangi czegoś namacalnego – wyrażonego za pomocą poszczególnych zmysłów, a tym samym odbierają miłości jej niematerialny charakter. Tak samo jak „miłość” może być materią, tak samo „miłość” może być również antymaterią. Generalnie może być wszystkim i niczym, bo brak jej kierunku czy spójnej narracji. Historia realnego świata od dziejów odbiega od reżyserskich wzorców, gdzie po malowniczej namiętności przychodzi czas na konfrontację i walkę. Czym są owe stany miłości? Jak nakreślić jej ramy? W Polsce czytamy od lewej do prawej, arabski zmienia kierunek wydarzeń, a w Japonii słowna wędrówka prowadzi od sacrum. Profanum mamy tutaj na ziemi. Sztuką więc w miłości jest jej określenie. „Miłość”, to jedna z nielicznych sztuk dla sztuki, gdzie książkowej okładce brak śmiałych osądów.

„Chcemy być blisko – nie tylko spełniając własną chęć wysyłania dobra, ale i wsłuchując się w potrzeby drugiej osoby, drzewa czy śpiewającego słowika. To bardzo ważne. Należy bowiem pamiętać, że miłość nie jest słowem ludzkim.”



Wookie, fot. zbiory własne

Black Point Night, Eskulap 2002 r.

Jak poznaniacy i poznaniarki bawili się na pierwszych imprezach techno?

Historia Malty, Eskulapa, Fabryki, Post Dali, Zeza i MO



Tekst: Joanna Gruszczyńska

Wszystko ma swój początek – także techno w Poznaniu. Pierwsze gramofony, pierwsze płyty i pierwsze imprezy kojarzą się poznaniakom i poznaniankom nieodłącznie z klubami Malta, Eskulap, Fabryka, Post Dali, Zez i MO. To tam odbywały się pierwsze imprezy z niszową muzyką elektroniczną i tam narodziła się scena techno w Poznaniu. Co jeszcze wiemy o tych czasach?

Powrót do źródeł

Historia poznańskiego techno już została opowiedziana. Zrobił to Piotr Kędziora w tekście „30 lat techno w Poznaniu”, który ukazał się w książce pod redakcją Łukasza Krajewskiego, Radka Tereszczuka i Artura Wojtczaka „30 lat polskiej sceny techno”, przepastnej antologii dokumentującej historię sceny techno i muzyki elektronicznej w Polsce. Książkę wydano dzięki zbiórce crowdfundingowej. Mało jednak brakowało, by przeglądowego tekstu o Poznaniu w książce by nie było. Gdyby nie osobista inicjatywa i zaangażowanie jego autora, publikacja mająca ambicję być „kompleksową panoramą kultury techno w Polsce”, byłaby wybrakowana. Jak twierdzi sam Kędziora: „wydarłem u redaktorów i wydawcy kilkanaście stron dla Poznania”. Dzięki niemu rozważono zmianę redakcyjnych planów i tekst o Poznaniu znalazł się w części poświęconej geografii techno.

Piotr Kędziora to nie tylko poznaniak, pasjonat muzyki i bywalec wydarzeń kulturalnych, czyli człowiek „z wewnątrz”, lecz także kulturoznawca robiący dobry użytek ze swojego akademickiego doświadczenia. Dzięki temu tekst „30 lat techno w Poznaniu” nie jest tylko zbiorem anegdot, chronologiczną układanką i zapisem wspomnień i rozmów z kolegami (jego tekst powstawał przy udziale Pete Bulla, Wookiego, Moi, Wagara, Mik Synca i Feelaza). Jest też wyjątkowym, bo wielowątkowym, wielowymiarowym i osobistym spojrzeniem na historię, na którą składają się zarówno perspektywa badacza, jak i uczestnika muzycznych i towarzyskich wydarzeń z przełomu milenium. Z tej historii postanowiliśmy wyselekcjonować kilka wątków dotyczących klubów i wrócić do tematu miejsc, które kiedyś rozpały poznaniaków do czerwoności, a których dziś niestety już nie ma. Do rozmowy zaprosiliśmy także wspomnianych już Łukasza Leśniewicza (Wookiego) i Filipa Weymanna (Feelaza), aby podzielili się wspomnieniami z muzycznych początków i poszukiwań (często bardzo prozaicznych, jak np. poszukiwanie najlepszej skrzynki

pod gramofon). Ich wypowiedzi uzupełniły opowieść Kędziory o nowe anegdoty. W naszym magazynie pisaliśmy już o kompleksie Off Garbary, klubie 8Bitów, Alcatraz, Piwnicy 21 i Cafe Mięsnej. Teraz przyszedł czas, żeby cofnąć się jeszcze bardziej, do miejsc, które były ich inspiracją.

Dyskoteki vs Techno Party

Początek lat 90. w Poznaniu był klubową posuchą. Rządziły domówki, ewentualnie kluby studenckie, wokół których kręcili się ludzie poszukujący undergroundu, czy – oczywiście – dyskoteki, choć jeśli niekoniecznie chciało ci się tańczyć do bitu Dr Albana czy Haddaway, omijałeś je z daleka. Alternatywą dla „Rhythm is the dancer”, było siedzenie u kumpli lub kumpelek na mieszkaniu i słuchanie płyt zakupionych w DJ Shopie na Świętym Marcinie lub przywiezionych z zagranicy.



Wszystko zaczęło się zmieniać, kiedy w klubie Malta, zlokalizowanym na szczycie Jeziora Maltańskiego od strony ulicy Baraniaka, ruszył cykl imprez Techno Party, organizowany przez Macieja Ostoję Zagórskiego z Radia S. Dziś nikt do końca nie wie, jak Zagórskiemu udało się przekonać właściciela nadmaltańskiej dyskoteki, by w każdy czwartek z głośników puszczał tam nowe, odjechane i futurystyczne brzmienia. Fakt jest jednak taki, że dzięki niemu muzyka elektroniczna wreszcie zaczęła wychodzić z kluarów i stała się alternatywą dla dyskotek i muzyki rockowej. Jak czytamy: *pierwsze wydarzenia w Malcie mają silny oddźwięk, na parkiecie spotyka się coraz więcej ludzi, którzy „gdzieś już to słyszeli”*



Feelaz, fot. Marlen Bangiel

lub podążają szlakiem naszej dwójki DJ-ów z Piątkowa. Chodzi tu o Łukasza Leśniewicza (DJ-a Tripa, później DJ-a Wookiego) i Kubę Kosickiego (Moi), których Ostoja Zagórski zaprosił do współpracy. Ten pierwszy zasłynął imprezami urodzinowymi, które organizował w zakładzie poligraficznym swojego ojca i które przeszły do historii i położyły podwaliny pod rozwój sceny klubowej w Poznaniu. – Maszyny poligraficzne przykryliśmy posprejowanymi prześcieradłami, zamontowaliśmy ultrafioletową jarzeniówkę i wypożyczyliśmy maszynę do dymu i stroboskop. Zaprosiłem 30 osób, a przyszło 60. Znajomi byli zachwyceni, bo serwowaliśmy muzykę, której nikt wcześniej nie słyszał. Później nie miałem wyboru i musiałem robić reedycje – wspomina Leśniewicz. Razem z Heyne byli oni pierwszymi rezydentami Małty i grali w niej co drugi czwartek.

Wookie, zagorzały metalowiec, pierwszą styczność z niszową muzyką elektroniczną miał w Holandii, do której jeździł z kumplami pracować. Tam trafił na acid house'ową imprezę i totalnie się zakochał. Przejście z metalu na elektronikę nie było u niego radykalne i następowało powoli – przez funkujące brzmienia Faith No More czy Beastie Boys, których płyty miał w swojej obszernej kolekcji. Tak bogatą płytoteką mogli w tych czasach pochwalić się tylko nieliczni poznaniacy, nic więc dziwnego, że Ostoja Zagórski, promotor nowych brzmień, wyłapał Łukasza i zaproponował mu wspólne granie.

Techno Party w Malcie zyskiwały coraz większą popularność, przyciągając pełen przekrój osobowości – od przyszłych lekarzy i architektów, aż po Manuelę (późniejszą gwiazdę Big Brothera) i Shady'ego z Just 5. W pewnym momencie rozrosły się do organizowanych raz w miesiącu weekendowych Techno Maratonów. Zaplecze techniczne pierwszych w mieście techno potańcówek budowane było metodą „na sklejkę” i „coś z niczego”. DJ-e grali, korzystając z domowych odtwarzaczy CD, prostych mikserów i magnetofonów kasetowych. Królowała prowizorka, ale także nieskrępowana wyobraźnia. – Miałem jakieś tam pojęcie, jak miksować utwory, ale musiałem rozpracować to praktycznie. Robiłem sobie rozpi-

ski, na przykład w kolejnym numerze bit wchodził w 16 sekundzie, więc – kiedy poprzedni numer miał 16 sekund do końca – wrzucałem PLAY. Działalem według schematu: stopa się kończy, stopa zaczyna – tak swoje pierwsze doświadczenia sceniczne opisuje Wookie.

Latem '95 Ostoja-Zagórski i Paweł Czaplicki z Radia S dogadali się ze „starym Eskulapem”. Wookie z Moi zaczęli teraz grać na Przybyszewskiego, a stery w Malcie przejął Wagar (obecnie Audiorotrax). Moi i Wookie grali na dolnej sali Eskulapa, a piętro wyżej, w tym samym czasie, ludzie tańczyli do dyskotekowych hitów. – Ci z góry patrzyli na tych z dołu jak na kosmitów – wspomina Łukasz. Fani nowych brzmień wyglądali jak z innej planety – nosili antypyłowe maseczki, laboratoryjne gogle i odkurzacze na plecach, a w nieodłącznym na imprezach świetle ultrafioletowym ich ubrania i pomazane fluorescencyjnymi pisakami ciała mieniły się różnymi kolorami. W oderwaniu się od rzeczywistości pomagały też środki psychoaktywne. *Kwasów je się dużo, kwasy jedzą wszyscy, kwasy jedzą wszędzie* – czytamy w poznańskim rozdziale książki.

Mimo że czas, jaki Wookie i Moi wybrali na „muzyczną rewoltę”, był niefortunny, bo w wakacje, gdy studenci wyjeżdżają, a cała reszta jest na wakacjach lub w plenerze, imprez się nie organizuje – odnieśli sukces. Po wakacyjnym początku, gdy Eskulap świecił pustkami, a na sali bawiło się po 50 osób, nadeszła jesień, a ludzie zaczęli poszukiwać alternatywnych miejsc, oderwania od codzienności i dobrej zabawy. Wieść o imprezach rozniosła się pocztą pantoflową po całym mieście, a klub szybko się zapełnił.

Nauka miksowania i poznański DIY

– Raz na miesiąc pakowaliśmy się w czwórkę w auto rodziców i jechaliśmy do Berlina. Wracaliśmy z dwudziestoma płytami i bolącą głową. Po przesłuchaniu kilkunastu płyt człowiek czuje się jak po powąchaniu dziesięciu zapachów w Sephorze. Do Poznania wracaliśmy m.in. z muzyką Joeya Beltrama i Cristiana Vogela – tak o powiększaniu swojej płytoteki opowiada Wookie.

– Płyty kupowałem m.in. przy okazji wszelkich wyjazdów zagranicznych – sklepy płytowe zawsze były na pierwszym miejscu listy „to do”. Ponadto, w Poznaniu działała wówczas dystrybucja Outside Media (czyli organizatora m.in. słynnych Tresorów), zdarzało mi się także kupować płyty np. w łódzkim „Skylark Records”, gdzie Rebus puszczał nam płyty przez telefon – wspomina z kolei Feelaz.

Feelaz pierwszy mikser i gramofony z napędem paskowym kupił w '97. Miksowania uczył się metodą prób i błędów, podglądając na imprezach DJ-ów, którzy chwilę wcześniej zrezygnowali z CD-ków i odtwarzaczy

domowych na rzecz czarnej płyty. – Zmiana nośnika na winyle zazwyczaj nie była odczuwalna dla imprezowiczów – wspomina Wookie. Większym problemem okazała się radykalna zmiana brzmienia DJ-skich setów. W Eskulapie coraz częściej grało się muzykę kojarzoną z berlińską wytwórnią Tresor, co na początku spotkało się z niezrozumieniem i doprowadziło do małego buntu części klubowiczów. Kto jest za zmianą DJ-ów? – krzyknęli muzycy dysydenci, organizując ankietę badania preferencji publiczności. Jednym – jak inżynierowi Mamoniowi z „Rejsu” – podobały się melodie, które już raz słyszeli, inni woleli odkrywać nieznanne i tworzyć nowe.

W tym czasie oprócz Wookiego i Moi za deckami pojawiali się też Mik Sync, Basic, Mate K i Ash. Później dołączył do nich także Pete Bull. Miksowania uczyli się wspólnie, w swoich mieszkaniach, na posiadówkach. Dwa gramofony spięte z mikserem i cała noc naprzemiennego grania były wprawką przed występami na żywo.

– DJ-e nie muszą teraz umieć synchronizować utworów według tempa, bo grają z kontrolerów. Jeśli chcą grać w tempie 122 bpm, to regulują to za pomocą jednego przycisku. Oldschoolowe granie, którego się uczyliśmy, było bardziej skomplikowane. Na jednej słuchawce mieliśmy kawałek, który zaraz puścimy, drugim uchem słuchaliśmy tego, co leciało akurat na sali. Tempo wyrównywaliśmy manualnie, „na ucho” – komentuje Wookie.

Klejenie bitów to jednak nie wszystko – jest jeszcze wiele elementów techniki mikśowania, m.in.: scratch, zabawy korektorem, efekty, samplowanie, loopowanie czy zabawa cross faderem. Wielu bardziej radykalnych DJ-ów, wyznających starą szkołę, twierdzi, że bez tej podstawy nie można nazywać się prawdziwym DJ-em. W latach 90. umiejętności techniczne często musiały iść w parze z wyobraźnią. Kiedy głośniki znajdowały się za blisko gramofonów, wprawiały je w wibracje i deformowały dźwięk. Gramofony zamiast grać, brumiły. Łukasz Leśniewicz metodą prób i błędów poradził sobie z wyzwaniem i opracował innowacyjne rozwiązanie, żartobliwie nazywane „żółwikiem”. Sprzęt stawał na skrzyniach wypełnionych piaskiem, który amortyzował drgania powietrza, dzięki czemu muzyka miała czyste brzmienie. Mistrzem budowania didżejek był też w tym czasie Pete Bull, który zawsze znajdował odpowiednią skrzynkę, a na niej rozstawiał mikser i gramofony sprawnie jak nikt inny. DJ-e ra-

dzili sobie jak tylko mogli, uprawiając ekwilibrystykę i naśladowując Pomyślowego Dobromira.

Mimo ich wysiłków nie brakowało opinii, jak ta z książki, którą znaleźć można w tekście area undergrounda, że polskie kluby były i są *wypożyczone w generatory hałasu, zdolne jedynie do ogłuszania przypadkowych ofiar*. Wyjątkiem jak na tamte czasy była, opisywana w poznańskim rozdziale impreza w Eskulapie z 1996 roku, kiedy to Niemcy przywieźli na dwudniową imprezę własny sound system i rozłożyli na łopatki wszystkich malkontentów. Zazwyczaj jednak DJ-e do dyspozycji mieli tylko przestrzeń i dalej radzić musieli sobie sami. *Wystarczyły surowe mury, stroboskop, podejście DIY i własny sprzęt – gdziekolwiek, byle grać, byle tańczyć, jak czytamy w „30 lat techno...”*.

Złota era techno

W 1997 roku na poznańskim rynku techno zaczęli pojawiać się nowi gracze. Na ulicy Grobla ruszyła Fa-

bryka z Mentalem i Fadem, którzy zostali tam rezydentami, i Adamem Szląpką w roli menedżera. Klub znajdował się w industrialnym budynku z czerwonej cegły, dawnej wytwórni musztardy i octu. Wydawać by się mogło, że surowe wnętrze i rosnąca popularność techno to przepis na sukces, ale Fabryka po zaledwie kilkunastu miesiącach istnienia zniknęła z mapy Poznania. Później w okolicach Garbar powstawały kolejne kluby, m.in. K2, 69 czy malutka, mieszcząca się w piwnicy Centrala, ale one również nie przetrwały długo. Dlaczego? Warto pamiętać, że 30 lat temu Poznań był zupełnie inny, a nocne spacery po Wildzie, Garbarach czy Jeżycach uchodziły wręcz za sport niebezpieczny. Możliwe, że to przesądziło o porażce klubów z „niewłaściwej strony miasta”, a Malta i Eskulap, które sobie poradziły, były wyjątkami potwierdzającymi regułę.

Wróćmy jednak na chwilę do Fabryki. Podczas swojej krótkiej działalności, oprócz cotygodniowych imprez tematycznych (Extravaganza, Cool Vibes, Abstract Dance), pojawiały się tam też zewnętrzne bookingi. To tu odbył się pierwszy Tresor, zorganizowany przez Stefana Czubałę z ekipą Outside Media. Wieść o legendarnych imprezach sygnowanych znakiem berlińskiej wytwórni niosła się po całym kraju. Z okazji drugiej edycji Tresorów Poznań odwiedził nawet DJ Jaco z programu DJ Club

“Oldschoolowe granie, którego się uczyliśmy, było bardziej skomplikowane. Na jednej słuchawce mieliśmy kawałek, który zaraz puścimy, drugim uchem słuchaliśmy tego, co leciało akurat na sali. Tempo wyrównywaliśmy manualnie, „na ucho”

(Polsat 2). Udało mu się porozmawiać z niemiecką gwiazdą Cristianem Vogelem oraz lokalnymi DJ-ami – Eliotem i Krisbem. – Ja miałem wtedy 15 lat. Ojciec pozwolił mi iść pod warunkiem, że wrócę do domu przed 2 w nocy, ale i tak przeciągnąłem trochę ten czas... To było wydarzenie, na które zjechali się ludzie z całej Polski. Głośno było o nim też za granicą – tak pierwszą wizytę Cristiana Vogela wspomina Feelaz, który sam zadebiutował na Tresorach trzy lata później, choć w innych miejscu.

Po zamknięciu Fabryki Tresory przeniosły się do Eskulapa i w Poznaniu zaczęła się złota era techno. DJ-e house'owi zostali zepchnięci na drugi plan i zmuszeni do znalezienia sobie nowych miejsc do grania czy nawet – jak mówi Wookie – walki o przetrwanie. W klubach dominowały minimalistyczne bookingi. Pisała o tym poznańska DJ-ka Carla Roca w tekście „Niewiele kobiet wytrzymuje w tej branży na tyle długo, żeby wywalczyć swoją pozycję” który trafił do książki „30 lat polskiej sceny techno”. Promotorzy innych brzmień, w tym Wookie, zaczęli organizować swoje imprezy w coraz bardziej nietypowych miejscach, na przykład Starlight Cafe w budynku Multikina 51 czy na 18. piętrze Collegium Altum. – Na 18. piętrze Altum nie było sal wykładowych. To otwarta przeszklona przestrzeń, z której rozpościera się widok na całe miasto. W połączeniu z różnymi rozweselaczami można tam było złapać niezłą fagę – wspomina Wookie.

W 1999 roku na Wrocławskiej ruszyło Post Dali – malutka, mogąca pomieścić raptem 80 osób kawiarenka. Przez nazywaną żartobliwie „pознаńską mekkę house'u” przewijało się podczas jednego wieczoru ponad 250 osób! Część tańczyła w środku, a reszta popijała drinki na dziedzińcu przed lokalem. W środy, piątki i soboty rezydenci – Shamut, Wookie, Mental i Walijczyk Tim Hazell, organizowali legendarne imprezy. Dbali oni o pierwszoligowy skład DJ-ski, zapraszając cenionych artystów z całej Polski, m.in. Sebka Skalskiego, Sixę z Bydgoszczy i Drwala z Trójmiasta. Kiedy Łukasz coraz bardziej oddalał się od minimalu, Feelaz powoli wkraczał w świat imprez już nie jako uczestnik, ale jako DJ. Pod koniec lat 90. za sprawą Pete Bulla, do którego trafiło jego demo mix na kasecie, zagrał swój klubowy debiut w lokalu MO, miksując Johannes Heila, Cristiana Vogela i Pacou.

Na ulicy Bożniczej funkcjonował mniej więcej od początku 2000 roku do końca 2002 klub MO. W tym samym budynku już w drugiej połowie 1999 roku znajdował się inny klub, La Matadero, jednak po nalocie

policji został zamknięty. W 2000 roku stery w MO przejął Maciej, z którym Feelaz jako rezydent organizował mnóstwo imprez z udziałem m.in. Maada, Chrisa Da'Breaka, Krisba, Marcina Czubali i Jacka Sienkiewicza. Filip sprawdził się w nowej roli do tego stopnia, że w 2001 roku rozpoczęła trzyletnią współpracę z malutkim klubem Zez, który mieścił się na Szkolnej. – Kiedy trafiłem do Zeza, totalnie się zakochałem w kameralnym vibe'ie, który stworzyli tam „Zezole”, czyli dwaj bracia bliźniacy, Piotr i Paweł. Choć klub istniał około cztery lata, to „Zezole” przestali go prowadzić pod koniec 2003. Wtedy pewien etap dla klubu się już skończył – podsumowuje Feelaz.

Rok 2001 przyniósł mu nowe wyzwanie. Wystartował wtedy z projektem Extension Electronic Music, czyli kolektywem ponad podziałami. To, co Feelaz z przyjaciółmi chciał przekazać, to przede wszystkim miłość do muzyki, do której nie trzeba przyczepiać etykietki: techno, house, electro, breakz czy ambient. Muzyka elektroniczna jest jedna, kolorowa i różnorodna; powinna łączyć, budować przyjazne mikrospołeczności i dawać pole do eksperymentów, a nie dzielić ludzi na zwalczające się frakcje, na przykład fani minimalu kontra miłośnicy house'u. Być może projekt odpowiadał na nasilające się antagonizmy między odbiorcami różnych gatunków. Ten podział na sceny na początku XXI wieku opisał związany z Poznaniem Lcaise w rozdziale „Deus ex machina. Naćpany muzyką”. Feelaz i przyjaciele stworzyli grupę-medium, poprzez którą ich miłość do muzyki miała szansę rozprzestrzeniać się na cały kraj i wychodzić poza utarte schematy.

Jak napisał Feelaz na stronie extension.pl, jego mixy są bardzo zróżnicowane, a to, jak gra, zależy od imprezy i ludzi. Zdaje się, że to zdanie dotyka sedna sprawy-misji Extension Electronic Music. Na wspomnianej wyżej stronie Filip przez kilka lat gromadził imprezowe plakaty, ulotki i wlotki, ale nie tylko. Można tam też znaleźć polecane magazyny, labele, blogi, kluby, mixy czy line-upy imprez, na których pojawiali się członkowie EEM. To przepastne archiwum i wizualno-dźwiękowa pocztówka z lat 2001-2006.

Wookie i Feelaz są zgodni, że lata 90. ukształtowały ich muzycznie. Łukasz ostatnio wycofał się z działań muzycznych, ale jego autorskie imprezy pod pseudonimem Pussydog, które od 2001 organizował wspólnie z Shamutem (mowa tu o house'owej Pussystacji i afrykańsko-latynoskim El Choco z instrumentami na żywo), były ważnymi punktami na mapie Poznania. Feelaz to do dziś aktywny DJ, organizator imprez oraz właściciel sklepu Vinylgate Recordstore.

Carla Roca, fot. archiwum własne



*Sumienie nie pozwala nam
na sprzedawanie słabej kawy*

*Bike
café*
est. 2012





YANCH

Jak zadebiutować w czasach pandemii?



Rozmawiał: Kuba Kowalka

Zdjęcia: Patrycja Przedwojska

Yanch to nowa postać na scenie klubowej w Poznaniu. Pierwszy raz usłyszeliśmy go w utworze „Joy”. Barwny teledysk do nagrania to jednocześnie jego manifest walki o tolerancję i pokaz celebracji życia poprzez zabawę. Producentkie szlify zbiera u Bartka Szczęsnego, otacza się ludźmi związanymi z lokalną sceną modową, a na Łazarzu współprowadzi pracownię fryzjerską – Nów. Warto go obserwować, bo ambicja i odwaga na pewno zaprowadzą go daleko!

Trudno się debiutuje w 2021?

Myślę, że ten rok wbrew pozorom daje dużo przestrzeni do debiutu. Stety, niestety spędzamy dużo czasu w mediach społecznościowych, mogąc śledzić właśnie takie debiuty. Bardzo lubię zabawę formą, a w tym wypadku pozwala mi to kreować to co kocham, czyli muzykę. Z każdym kolejnym utworem coraz bardziej chce mi się tworzyć. Przyjemna wizja.

W którym momencie pojawiła się myśl o starcie przygody z muzyką?

Gdyby technicznie ocenić, to na pierwszych zajęciach z rytmiki. Jako dziecko dołączyłem do zespołu pieśni i tańca Malwinki, w których swego czasu tańczyłem i śpiewałem w pierwszej parze. Przez grupy śpiewu, a później grupy instrumentalne, trafiłem niestety do szkoły muzycznej. Tam chyba po raz pierwszy nauczyłem się tego, czym jest dla mnie prawdziwa tyrka. To nie była tylko lekcja instrumentu w tygodniu. Duża ilość zajęć muzycznych, plus szkoła i nauka języka, to był ogrom zajęć dla nastolatka, który chciał również spędzać czas z przyjaciółmi. Wytrzymałem trzy lata i poddałem się na ostatniej prostej. Uciekłem wtedy trochę od świata kreacji muzyki i zacząłem jej słuchać. Z czasem coraz bardziej świadomie, w końcu pojawiło się marzenie o tym, co robię teraz. Gdy już ogarnąłem życie zawodowe, to w atmosferze spokoju mogłem zacząć realizować swoje pomysły. Przyjaciele na urodziny kupili mi Abletona, a potem poszedłem na kurs jego obsługi. Tak to trwa do teraz. Cały czas się uczę, ale jestem na dobrej drodze do coraz lepszych realizacji moich muzycznych myśli.

Kto miał na Ciebie największy wpływ?

Mam swoją konkretną grupę artystów, którzy mnie rzeźbili swoją muzyką. W ostatnich sekundach klipu „Joy” jest ich pełna lista. To twórcy bardzo dla mnie ważni w tej części mojego muzycznego ego. W kilku słowach mógłbym opisać mniej więcej mój sposób pojmowania tej inspiracji. Florence + Machine uwielbiam za to, że nauczyła mnie czytać emocje w muzyce. Ionalee za tworzenie pięknej i oddzielnej w każdym albumie estetyki, w którą ubiera całokształt przedstawiania danego albumu. Naszej poznańskiej Rebecy za pokazanie, że świeże dźwięki muzyki elektronicznej mogą się też zawierać w muzyce pop, której alternatywny obszar miłuję najbardziej. Grimes za pokazanie, że ścieżka muzycznej kariery to zabawa z formą i z przyjaciółmi. Mógłbym tak długo mówić. Wiadomo. Przede wszystkim każdemu z tych artystów jestem wdzięczny za ich muzykę.

Poznań to dobre miejsce, żeby zaczynać?

Poznań to moje muzyczne gniazdo. Tutaj jako pisklak elektroniki zacząłem na imprezach w Mięsniej, potem coraz częściej w 8Bitach i na ukochanych Off Garbarach, za którymi tęskni każdy, kto tam uczęszczał. Jednak całe te lata, zawzięcie i z miłością, podążałem za historią Tamy, w której tańczy już od blaszanego początku przy Garbarach. Chwi-



łę wcześniej poznałem cudowną i bliską mojej duszy Joane. To prawdziwy anioł stróż poznańskiej kultury klubowej. Asia zawsze starała się, aby Poznań odwiedzali światowi muzycy, którzy w jej progach zawsze czuli się jak gwiazdy. Zawzięcie budowała historię, która doprowadziła ją do bycia matką idei i postaci mojego ulubionego klubu. Mam wielkie szczęście, że mogłem być świadkiem tej drogi, jednocześnie obcując z Asią i jej muzyką, która mocno wpłynęła na moje muzyczne ja. Pozdrawiam Asię, bo wiem, że pewnie się teraz uśmiecha, gdy to czyta. Nie mogę zapominać o moich pozostałych mentorach. Michał Gutkowski mocno przyczynił się do moich zwyczajów technicznych przy komponowaniu. Boarding Pass i Joana dbają o mój dj-ski kunszt. Wiele osób pomaga mi być dobrym muzykiem. Jestem za to bardzo wdzięczny życiu, że spotkaniem ich na swej drodze.

Poznań należy też do tych bardziej „otwartych” miast. Twój manifest poglądów, który głosisz od samego początku działalności muzycznej jest w dzisiejszych czasach dość odważny.

Nazywasz to odważnym. Dla mnie jest wymagającym. Lubię czuć się spełniony, a moje marzenia to wielkie igrzyska olimpijskie dla moich ambicji. To co robię to moje życie, które tak zbudowałem bardzo ciężką, ale jakże



satysfakcjonującą pracą. Jeśli moja praca może mnie uszczęśliwić a komuś jeszcze sprawić jakieś dobro, to czego więcej mógłbym chcieć do szczęścia.

Jesteś nowym przedstawicielem techno, ale twoja estetyka odbiega od stereotypowych producentów tego gatunku.

Zgadzam się, że odbiega. Jestem tego świadomy. To skrajnie przyjemne odczucie dla mnie próbującego znaleźć swoje muzyczne ja. Lubię muzykę. Różnorodność brzmień poszerza moją świadomość i muzyczne możliwości. Buduję swój muzyczny grunt i mam wrażenie, że już wiem jak on brzmi. „Joy” jest na pewno osobliwą wyspą na wym, na razie, skromnym archipelagu utworów. Zaraz zabiorę was na kolejną wyspę utworu „Girls, Gays, People”, której estetyka już nie jest tą tylko do zabawy. Ale o tym już przekonacie się w bliskiej przyszłości (śmiech).

Na co dzień prowadzisz pracownię fryzjerską Nów. Klienci to Twoi wierni fani czy gremium sądziowskie?

Mój salon to ostoja mojej estetyki oraz planów związanych z tym miejscem. Moi klienci oraz ich historie to moje częste inspiracje do emocji, które chcę umieszczać w swoich utworach. Bardzo często rozmawiam z nimi, opowiadam o swoich wizjach, a oni opowiadają mi o swoich. Fryzjerstwo to ekstra zawód. Łączy proces kreacji, relacji oraz sprawiania przyjemności obu stronom. Tyle, co my czasem sobie pogadamy, to nikt

nam tego nie odbierze. Jeśli razem jesteśmy zadowoleni z rezultatów usługi i pasji, którą świadczę, to już jest totalna przyjemność. Każdy fryzjer zrozumie to o czym mówię.

Twój pierwszy teledysk do „Joy” to feeria barw i modowych stylizacji. Moda, przede wszystkim lokalna, to ważny element w Twoim przekazie.

Sam czuję się trochę lokalny, dlatego najbardziej interesują mnie lokalni projektanci, ale oczywiście nie tylko. Od samego początku kiedy je zobaczyłem, to chciałem nosić rzeczy Edyty Jermacz. Mojej technomoduzy i przyjaciółki, która tworzy szalone i wyjątkowe projekty modowe. Poznań powinien się nią naprawdę chwalić! Na festiwalu i ulicę najlepsze stylóweczki tworzy moja miłość w jego marce GirlLittleBoy. Ekscytuję się na myśl, jakie rzeczy tworzy właśnie dla mnie. Ma bardzo dobre wyczucie modowe. RagClothes Przemka Podolaka to też kawałek mojej historii. Sam miałem szczęście otwierać pokaz z okazji obrony pracy dyplomowej w School of Form, gdzie miało miejsce narodzenie jego marki. Później już jako fryzjer pokierowałem teamem, w pięknym techno pokazie, który odbył się w Tamie. Na samą myśl ile mogłem nawymyślać sobie fryzur z tymi kreacjami robi mi się miło. Nie mógłbym zapomnieć o marce To.Moje, Agnieszki Rogozińskiej. Skubana dobrze wie, jak wyglądają rejwy, więc tworzy moje ulubione techno worki, które nazywam workami Hermiony Granger. Nosze tam pół życia a one to trwale dźwigają, wyglądając przy tym tak jak lubię. Ekipa modowa tego miasta jest naprawdę duża i przepiękna. Poznań kreuje bardzo dobrą modę, którą wybieram dla siebie.

A hand is shown reaching into a wooden crate filled with fresh produce. The crate contains several large, ripe red tomatoes, a pomegranate, a cucumber, and some green leafy vegetables. The background is filled with more fresh produce, including lemons and green herbs. The overall scene is vibrant and emphasizes freshness and quality.

o^vo^co^vo

Świeże warzywa i owoce od lokalnych dostawców pod Twoje drzwi

www.ovocovo.com.pl